

4/2014

KALEJDOSKOP

SPIS TREŚCI



Wydarzenia	4	Rocznice i ich okolice		Taneczna miniatura	
Wystawy	8	Michał Jagiełło	31	Bogdan Sobieszek	46
Premiery filmowe	10	Portfolio Soni Orlewicz	32	Se-ma-for na polu walki	
Książki	11	Pięknie i użytecznie		Maciej Sztąberek	48
Na Międzynarodowy Dzień Teatru.		Aleksandra Talaga-Nowacka	34	O akademiach	
Trochę post		Trudno jest uciec od wspomnień		Krzysztof Golec-Piotrowski	50
Andrzej Poniedziałki	15	Bogusław Sikorski	36	Z warsztatu mistrza?	
Taniec na pierwszym planie		Odpowiadam sam sobie		Monika Nowakowska	52
Z Karoliną Rejnus		Z Leszkiem Skrzydło		43 wiersze przeciw światu	
rozmawia Janusz Janyst	16	rozmawia Bogusław Sikorski	37	Tomasz Cieślak	54
Alternatywa z Łodzią w tle		Gatunki zagrożone wyginieciem		Rzeka w gablocie	
Rafał Gawin	20	Piotr Grobliński	38	Bogdan Sobieszek	56
Jesteśmy wkurzeni!		Demokracja-kopulacja		Biblioteka wydaje	
Z Józefem Robakowskim		Michał Lachman	40	Danuta Trzcirńska	58
rozmawia Aleksandra Talaga-Nowacka	22	Edukacja Rity		I str. okładki:	
Biskupka i paranoj		Piotr Grobliński	42	KAROLINA REJNUS,	
Piotr Grobliński	25	Jazz i pasta do zębów		solistka baletu Teatru Muzycznego w Łodzi	
Moc będzie z nami		Magdalena Sasin	44	– wywiad na str. 16	
Bogdan Sobieszek	26	Obraz przeciw słowu		Foto: Katarzyna Grzelakowska	
Rock'n'rollowe życie to mit		Maciej Cholewiński	45		
Z Krzysztofem Ostrowskim					
rozmawia Piotr Kasiński	28				

Z nadzieją



Musimy zrobić wszystko, żeby kalendarium wróciło do „Kalejdoskopu” – tego jesteśmy pewni. Emocjonalne reakcje czytelników ukształtowały w nas tę pewność. Prowadzimy rozmowy, szukamy rozwiązań, obmyślamy plany awaryjne. W mizerii finansowej, jakiej doświadczają instytucje kultury, niełatwo wygospodarować nawet stosunkowo niewielkie środki. Dlatego to trwa, ale wykaz imprez kulturalnych wróci.

Zawirowania związane z kalendarium zbliżyły redakcję z czytelnikami. Nigdy przedtem nie odbyliśmy tylu rozmów z Państwem, których tematem było nasze wspólne pismo. Mimo że okazja niewesoła, mają dla nas pozytywne znaczenie. Dały nam szansę nawiązania bezpośredniego dialogu. Owszem, dostało nam się, ale usłyszeliśmy też sporo miłych słów, dowodów na to, jak Państwo przywiązani jesteście do „Kalejdoskopu”. To ważne, tym bardziej w roku jubileuszu.

Spieszymy zatem wynagrodzić Państwu tymczasową – jak wierzymy – stratę, zamieszczając ciekawe artykuły. Warto przeczytać choćby o tym, co Józef Robakowski myśli o łódzkim środowisku artystycznym, a Krzysztof Ostrowski o rockandrollowym życiu. I jeszcze jedna ważna informacja dla tych, którzy organizują albo chcieliby zorganizować wydarzenia kulturalne. Łódzki Dom Kultury będzie wspierał projekty. Do rozdania jest 500 tys. zł.

MÓWIĄ O NAS

Leszek Bonar

dziennikarz TVP Łódź



Dopiero sprowokowany do napisania tego tekstu uświadomiłem sobie, jak ważny okazał się „Kalejdoskop” w moim życiu. Tak naprawdę trzy czwarte mojej działalności telewizyjnej pokrywa się z istnieniem tego pisma na rynku. I w ciągu tych 30 lat nigdy nie miałem istotnego pretekstu, aby narzekać na to, co się w nim ukazuje, mało tego, najczęściej dostrzegałem jego dobre strony.

Po pierwsze – wygodny format książkowy, który nie zmusza do ciągłego szeleszczenia i przerzucania dużych, gazetowych płacht. Po drugie – dbałość o szatę graficzną, począwszy od okładki, poprzez elegancki papier oraz czytelną i zróżnicowaną kompozycję poszczególnych stron, co w sumie składa się na obraz przyjaznej konstrukcji tego Magazynu Kulturalnego.

No i najważniejsze – treść. Wyraźnie podzielona na część informacyjną i publicystyczną, przekazywana w rozmaity sposób, a to poprzez relacje, felietony, komentarze, wywiady czy prezentacje sylwetek artystów. Na dodatek bez faworyzowania którejkolwiek z dziedzin sztuki, a poza tym z dbałością zarówno o to, co w Łodzi, jak i w regionie. Wszystko okraszone licznymi zdjęciami, często specjalnie dobieranymi.



Co istotne, przez te lata obcowania z „Kalejdoskopem” cały czas obserwowałem, jak ewoluuje, jak dostosowuje się do zmieniających się trendów i potrzeb czytelnika, czego potwierdzeniem jest np. wprowadzona w zeszłym roku wersja elektroniczna.

Cały czas mam wrażenie, że to się dzieje z myślą o nas, odbiorcach. I to mi się bardzo podoba. Lubię być poważnie traktowany!

Mieczysław Kuźmicki

dyrektor Muzeum Kinematografii w Łodzi



„Kalejdoskop” mój widzę... ogromny. Pamiętam narodziny „Kalejdoskopu”, a także coś w rodzaju pożądania, żeby też znaleźć się wśród jego autorów. Co okazało się ani trudne, ani skomplikowane: red. Jerzy Katarasiński zgodził się, bym przynosił, co uznam za stosowne.

Naprawdę związałem się z piśmem, kiedy redakcję objęli Tomek Bieszczad z Januszem Wiśniochem. Ich polityka (a raczej praktyka) redakcyjna to było coś między biurem pisania podań (jak je sobie wyobrażam), miejscem kontaktów towarzyskich, a najwięcej – nieformalnym salonem literacko-artystycznym. Ile razy wszedłem do nich z tekstem, spotykałem kilka jeszcze osób, które najczęściej też właśnie przyniosły swoje maszynopisy. Niektórzy, jak znany zawodo-

wy II reżyser, także aktor i felietonista Jerzy Moniak, mieli przywilej przynoszenia rękopisów. Więc z reguły taka krótka wizyta zamieniała się w posiedzenie dyskusyjne, czasami obficie podlewane redaktorską herbatką.

Przez parę lat dostarczałem do „Kalejdoskopu” swoje teksty, najczęściej rozmowy z ludźmi kina, sztuki, próbowałem też pisać coś w rodzaju felietonów, co jednakowoż szło mi dość opornie.

Ze szczególną satysfakcją wspominam moją inicjatywę publikacji specjalnego numeru na jubileusz 50-lecia Szkoły Filmowej. W numerze 10/1998 znalazła się 24-stronicowa wkładka.

Cieszę się, że przez kilka lat współpracowałem z redakcją; była to niezła szkoła pisania krótko, na temat i w terminie.



Odnowiony, lekko zmieniony „Kalejdoskop”, którego niegdyś podstawową funkcję miejskiego i regionalnego informatora przejął Internet, jest od niedawna wyłącznie i aż piśmem kulturalno-artystycznym. Może nadejdzie dobry czas, by spróbować przekształcić je w tygodnik? Czego życzę Wydawcy, Redakcji, a najbardziej sobie.

Z archiwum „Kalejdoskopu” (nr 4/1975)



Fragment wypowiedzi reżysera teatralnego **Kazimierza Dejmka** z cyklu „Jak? się to robi”:

Przyuczyłem się, aby każdą realizowaną sztukę interpretować, jak pouczał Leon Schiller, „z planu treści”. Oznacza to, że poddaje się utwór wielorakim oglądom, analizom, ustala się jego ideę, a także cel wystawienia, genre, styl itp. Jednym słowem – forma danego przedstawienia wyrasta z treści (...). Włączanie sztuki w formę, „dopasowywanie” jej do niej, wszystkie zabiegi wynikające z tego, że „reżyser ma pomysł”, są w moim przekonaniu głęboko sprzeczne z istotą teatru. (...) zawsze (...) bardziej mnie frapowało znajdowanie stylu, formy, wszystkich sekretów danego autora, aniżeli czynienie z teatru pretekstu do demonstrowania swoich (...) popisów. „Opetka” Gombrowicza jest sztuką, do której się odnoszę ze szczególnym nabożeństwem. (...) Mimo przeżycia się, teatr Gombrowicza (...) tkwi mocno w dzisiejszości. Mówienie o wtórności Gombrowicza jest objawem lenistwa i niedołęstwa umysłowego (...).

Uczenie o świecie

W dniach 7-14 IV pod hasłem „Odkrywamy świat” zaplanowano **XIV Festiwal Nauki, Techniki i Sztuki**, organizowany głównie przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe. W programie prawie 400 wykładów z różnych dyscyplin nauki i sztuki, pokazów, warsztatów, lekcji, występów artystycznych, dyskusji, wycieczek. Oficjalne otwarcie nastąpi w dużej sali obrad Urzędu Miasta Łodzi – łódzkim uczonym i artystom zostaną wręczone wyróżnienia „Łódzkie Eureka”. Inauguracja artystycznej części festiwalu – w sali koncertowej Akademii Muzycznej przy ul. Żubardzkiej, zakończenie – w Teatrze im. Jaracza.

W weekend 12-13 IV w godz. 10-18 odbędzie się piknik naukowy na rynku Manufaktury (pokazy, eksperymenty, warsztaty). Udział we wszystkich wydarzeniach jest bezpłatny, niektóre jednak wymagają wcześniejszych zgłoszeń. www.festiwal.lodz.pl *

XIV Festiwal
Nauki, Techniki i Sztuki w Łodzi



Łódzki desant

12. Festiwal Filmów Studenckich „Łodzią po Wiśle” odbędzie się w Warszawie w kinie Iluzjon w dniach 25-26 IV. To doroczne święto młodych



filmowców, którzy po raz pierwszy pokazują szerokiej publiczności swoje dokonania artystyczne. Na festiwalu są prezentowane filmy z ostatniego roku akademickiego studentów Szkoły Filmowej w Łodzi. Festiwal jest organizowany w Warszawie, by etudy obejrżeli przedstawiciele branży filmowej, producenci i dziennikarze. Dla młodych twórców to początek festiwalowego życia i często pierwsze laury. Od początku założeniem „Łodzią po Wiśle” było stworzenie forum do rozmowy o przyszłości polskiego kina, w którym uczestniczy profesjonalne środowisko filmowe i studenci Szkoły Filmowej. *

Inauguracja organów!

W kwietniu w Filharmonii Łódzkiej (ul. Narutowicza 20/22) po raz pierwszy podczas koncertu zabrzmiały nowe organy. To efekt unikatowego w skali europejskiej projektu budowy dwóch instrumentów – barokowego i romantycznego. Organ barokowy powstały jako pierwsze i to one zagrają podczas dwóch kwietniowych koncertów. Przy manualach (organowych klawiaturach) zasiądą: Krzysztof Urbaniak i Ludger Lohmann. Obaj byli konsultantami projektu budowy organów w FŁ. **11 IV** o godz. 19 organy zabrzmiały solo; usłyszymy utwory mistrzów baroku: Dietricha Buxtehudego, Jana Sebastiana Bacha i Carla Philippa Emanuela Bacha. **12 IV** o godz. 19 w programie koncertu znajdą się utwory na organy z orkiestrą, m.in. kompozycje Jerzego Fryderyka Haendla, Józefa Haydna i Antona Brucknera. Orkiestrę Filharmonii Łódzkiej poprowadzi Daniel Raiskin. *

Młodzież w centrum

Podczas **Ogólnopolskich Konfrontacji Teatrów Młodzieżowych „Centrum”** w Centrum Kultury



Młodych (ul. Lokatorska 13) młodzi twórcy mają możliwość weryfikacji swoich osiągnięć i zamierzeń artystycznych. W jury zasiadają wybitne osobistości świata teatru i filmu – w tym roku gościem specjalnym jest Maria Seweryn, aktorka i dyrektorka Och-Teatru w Warszawie. XXXII OKTM „Centrum” odbędą się w dniach **11-13 IV**, a w programie, poza przeglądami spektakli, m.in. koncert Katarzyny Groniec (**11 IV** o godz. 20). Wręczenie nagród – **13 IV** ok. godz. 13.30. *

Nowy gabinet Karskiego

Obchodzimy Rok Jana Karskiego, co stało się m.in. dzięki inicjatywie Muzeum Miasta Łodzi, dla którego najważniejszym punktem programu obchodów jest modernizacja stałej wystawy **Gabinet Profesora Jana Karskiego** (pod patronatem „Kalejdoskopu”). Gabinet istnieje tu od 1999 r. Gdy Karski ofiarował Łodzi bogaty zbiór memorabiliów, powstała



pierwsza na świecie ekspozycja muzealna poświęcona temu legendarnemu emisariuszowi Polskiego Państwa Podziemnego i profesorowi amerykańskich uniwersytetów. Meble, obrazy i osobiste pamiątki dopełniają m.in. Order Orła Białego i medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. W ostatnim czasie gabinet wzbogacił Prezydencki Medal Wolności, przyznany Karskiemu pośmiertnie przez prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Na odświeżonej wystawie, która zostanie otwarta **24 IV** (ul. Ogrodowa 15), nowy materiał ikonograficzny i dokumentalny będzie prezentowany za pomocą nowoczesnych środków audiowizualnych. Ponadto w planach lekcje muzealne, warsztaty, konkurs międzyszkolny, cykl otwartych spotkań tematycznych i gra miejska. *

Dziwne czy normalne?

Teatr Powszechny (ul. Legionów 21) zaprasza **26 IV** o godz. 19.15 na prapremierę monodramu pt. „Czad”. To kolaż monologów zebranych i spisanych przez aktorkę Aleksandrę Listwan, inspirowany jej spotkaniami z kobietami uważanymi za dziwne. Zderzenie różnych historii, postaci, doświadczeń i przemyśleń pokazuje obraz współczesnego świata z jego sprzecznymi wzorcami, wyśrubowanymi wymaganiami oraz napięciami, jakie rodzi.

Reżyseria – **Ula Kijak**, dramaturgia – **Martyna Lechman**, scenografia i kostiumy – **Dominika Skaza**, opracowanie muzyczne – **Maria Rumińska**. Wystąpi **Aleksandra Listwan**. *

Świeżo i nastrojowo

Ogólnopolska trasa koncertowa **Edyty Bartosiewicz** „Love Renovatio” rozpocznie się **11 IV** w Teatrze Wielkim w Łodzi. Pierwszą solową płytą piosenkarki, kompozytorki, autorki tekstów, aranżerki i producentki była „Love” z 1992 r. W 2013 r., po kilkunastu latach nieobecności na rynku, nagrała dobrze przyjęty (szósty) album „Renovatio”. W sumie jej płyty sprzedały się w nakładzie ponad miliona egzemplarzy. Podczas koncertu Bartosiewicz >

towarzyszyć będzie zespół złożony z ośmiu muzyków. – *Bogaty skład instrumentarium daje nam fantastyczne możliwości aranżacyjne. Będzie harfa, nie zabraknie sekcji dętej... Chcemy zrobić wszystko, by piosenki zabrzmiały tak, jak na to zasługują: świeżo, porywająco, a tam gdzie trzeba, nastrojowo* – mówi artystka. *

Roztańczony benefis

Z okazji przypadającego 29 IV Międzynarodowego Dnia Tańca Teatr Muzyczny w Łodzi (ul. Północna 47/51) zaprasza 24 IV o godz. 18.30 na wieczór baletowy zatytułowany „**Taneczne zderzenia**”. Część pierwsza to benefis Roberta Sarneckiego. Będzie mu towarzyszył zespół baletowy teatru. Drugą część wieczoru wypełni taneczna adaptacja arcydzieła światowej literatury – „Kobiety z wydm” noblisty Abe Kobo. To opowieść o kobiecie zniewolonej i uzależnionej od przedmiotów i ludzi, studium psychologiczne współczesnego człowieka. *

Jazz loves barok

Na premierę programu przygotowanego przez mieszkającą i tworzącą w Łodzi rosyjską pianistkę jazzową **Lenę Ledoff** Muzeum Miasta Łodzi (ul. Ogrodowa 15) zaprasza 6 IV o godz. 18. Projekt inspirowany jest muzyką m.in.: Bacha, Purcella, Strozzi, Monteverdiego, Meruli. Barokowe tematy zostały potraktowane jako standardy. Tradycja takiego muzykowania wywodzi się właśnie z baroku, kiedy wykonawca nie był ograniczony przez kompozytora sztywnymi ramami klasycyzmu, tylko mógł w sposób dość dowolny improwizować na zadany temat. W Sali Lustrzanej wystąpią: Anna Werecka (mezzosopran) i Adam Rymarz (wokół jazzowy) oraz Lena Ledoff Trio. Do udziału w projekcie autorka zaprosiła również duet projektantów mody „Transmode” – Romana Chruściela i Dariusza Jędrzejka. *

Msza na święta

Teatr Wielki w Łodzi (pl. Dąbrowskiego) zaplano-

wał 18 IV o godz. 19 „**Koncert na Wielki Tydzień**”. Usłyszymy utwór „Messa da requiem” Giuseppe Verdiego – w 140. rocznicę prawykonania. Kierownictwo muzyczne – **Eraldo Salmieri**, przygotowanie chóru – **Waldemar Sutryk**. Wystąpią: **Ewa Vesin** (sopran), **Sanja Anastasia** (mezzosopran), **Kałudi Kałudow** (tenor), **Grzegorz Szostak** (bas) oraz chór i orkiestra Teatru Wielkiego. *

Realista spod Łowicza

W Muzeum Miasta Łodzi (ul. Ogrodowa 15) do końca kwietnia można oglądać obraz Józefa Chełmońskiego pt. „Przed karczmą”. Z okazji setnej



rocznicy śmierci tego malarza realisty związanego z ziemią łódzką w muzeum 6 IV od godz. 12 zaplanowano **dzień poświęcony Józefowi Chełmońskiemu**. W programie: wykład o artyście, oprowadzanie kuratorskie po Galerii Mistrzów Polskich tropem twórców z epoki Chełmońskiego, warsztaty edukacyjne. *

W hołdzie legendzie

27 IV o godz. 19 w Klubie Wytwórnia (ul. Łąkowa 29) rozpocznie się koncert **Letz Zep** „Official Number One Tribute to Led Zeppelin”. Brytyjski zespół gra utwory Led Zeppelin tak dobrze, że muzycy legendarnej grupy zapraszają go na wspólne spotkanie z fanami.

Letz Zep sięga też po utwory innych klasyków. W Łodzi wystąpią: Billy Kulke (wokół), Andy Grey (gitara), Steve Turner (gitara basowa, keyboard), Benjy Reid (perkusja). Jako suport wystąpi niemiecki zespół Hella Donna. *

Bez prądu

Klub Wytwórnia (ul. Łąkowa 29) zaprasza **4 IV** o godz. 20 na koncert „**Hey Unplugged**”. Zespół wraz z zaprzyjaźnionymi muzykami zagra znane

HEY Unplugged

utwory w nowych aranżacjach – i w wersjach akustycznych. Repertuar z poprzedniej trasy unplugged zostanie wzbogacony o najpopularniejsze numery z dwóch ostatnich albumów: „Miłość! Uwaga! Ratunku! Pomocy!” oraz „Do Rycerzy, do Szlachty, doo Mieszczan”. *

Fraszki w tramwaju

W 110. rocznicę urodzin poety Jana Sztudyngera (1904-1970) Muzeum Miasta Łodzi (ul. Ogrodowa 15) zaprasza w dniach **28 IV – 31 VII** na wystawę poświęconą twórcy fraszek. Ekspozycja pt. „**Wieczór autorski Jana Sztudyngera**” obejmuje osobiste pamiątki, archiwalne zdjęcia, dokumenty rodzinne i liczący kilkadziesiąt pozycji książkowych dorobek twórczy. Zaaranżowana zostanie przestrzeń pracy Sztudyngera, a także pokazana kolekcja plakatów zapraszających na wieczory autorskie. Dodatkowo wiersze poety pojawią się w łódzkiej autobusach i tramwajach. *

Elektroniczno-akustycznie

W Klubie Wytwórnia (ul. Łąkowa 29) **26 IV** o godz. 20 – **Smolik feat. Skubas i Kasia Kurzawska**. Smolik jest znanym producentem muzycznym, który współpracował m.in. z Kasią Nosowską, Robertem Gawlińskim, Marią Peszek, Emmanuelle Seigner, Arturem Rojkiem, Noviką, Miką Urbaniak. Jego muzyka to połączenie subtelnej elektroniki z akustycznymi brzmieniami. Artysta koncertuje w składzie z bogatym instrumentarium. W Wytwórni usłyszymy nowe aranżacje jego utworów – od tanecznych po melancholijne. Poza Smolikiem wystąpią także Skubas, wokalista o charakterystycznej barwie głosu, i Katarzyna Kurzawska, wokalistka, autorka tekstów i muzyki związana z zespołem SOFA. *

Czech na dwóch deskach

Pod hasłem „Narciarstwo... czyli zdumiewająca historia *dwóch desek*” w dniach **9-10 IV** odbędą się w Łódzkim Domu Kultury (ul. Traugutta 18) **Dni Gór 2014** (w dniach 11-13 IV zaplanowano wyprawę do Zakopanego). W programie m.in.: wystawa o Bronisławie Czechu (otwarcie 9 IV o godz. 17 w Galerii Starej), pokazy filmów i gawędy, V Przegląd Diaporam Górskich (finał i wręczenie nagród 10 IV o godz. 20.15). Imprezie towarzyszyć będą konkursy dla publiczności, kiermasze książek i wydawnictw górskich, degustacja potraw. Wstęp wolny. *

SzlafRockowo

W Piwnicy Artystycznej (ul. 6 Sierpnia 5) **23 IV** o godz. 19 **Andrzej Poniedziałki** będzie promował swoją płytę „SzlafRock&Roll”. Znalazły się na niej autorskie wykonania piosenek pisanych dla wielu wykonawców, m.in.: Maryli Rodowicz, Edyty Gepert, Anny Treter. Jest też kilka nie zarejestrowanych nigdy wcześniej utworów oraz dwa premierowe nagrania. Aranżacje: Wojciech Borkowski, Andrzej Pawlukiewicz, Jerzy Satanowski, Paweł Stankiewicz i Adam Opatowicz. *

Na diamentowej drodze

W dniach **31 III – 6 IV** odbędzie się w Łodzi **4. Festiwal Kultury Buddyjskiej „Przestrzeń umysłu”**, poświęcony kulturze buddyzmu tybetańskiego i naukom Buddyzmu Diamentowej Drogi. „Przestrzeń umysłu” jest ogólnopolskim przedsięwzięciem organizowanym przez warszawską Fundację Stupa House. W Łodzi odbędzie się w: Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego (ul. Matejki 32), Buddyjskim Ośrodku Medytacyjnym (ul. Zgodna 9) i Centrum Biznesowym Synergia (ul. Wólczańska 128/134). W programie: wystawa fotografii Sebastiana Jezierskiego pt. „Posążki buddyjskie – formy pełne znaczenia” w BUŁ (otwarcie 31 III o godz. 17), wykłady oraz wprowadzenia do medytacji. *

Mesjasze pod obserwacją

„Szukając Jezusa” to nowy projekt **Katarzyny Kozyry**, który powstawał od wiosny 2012 r., kiedy artystka pierwszy raz odwiedziła Jerozolimę w czasie Świąt Wielkanocnych. Do stworzenia tego projektu zainspirował Kozyrę tzw. „syndrom jerozolimski” – urojenia występujące u niektórych osób, które podczas wizyty w Ziemi Świętej zaczynają utożsamiać się z postaciami biblijnymi, głównie z Mesjaszem. Kozyra, wcześniej wchodząca w różne role podczas swoich działań, tym razem jest obserwatorem specyficznego performansu osób, które próbują przekonać ją o swojej cudowności.



Otwarcie wystawy, na której zostanie zaprezentowany ten projekt, **11 IV** o godz. 19 w Galerii Atlas Sztuki (ul. Piotrkowska 116). *

Stu ze ZPAP

„Linia życia” to tytuł wystawy, która zostanie otwarta **15 IV** o godz. 18 w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku im. Sienkiewicza. To ekspozycja interdyscyplinarna, prezentująca twórczość około stu wybitnych artystów starszego pokolenia, zrzeszonych w Związku Polskich Artystów Plastyków. Każdy zaprezentuje trzy prace z różnych okresów swojego życia. *

Młodzi o Łodzi

Galeria Manhattan (ul. Piotrkowska 118) zaprasza **26 IV** o godz. 19 na otwarcie wystawy zbiorowej pod hasłem „**Tworzy się Łódź**”. Wernisażowi będą

towarzyszyły efemeryczne wystąpienia artystyczne w przestrzeni miasta (w godz. 17-21). Projekt powstał z potrzeby ujawnienia energii twórczej młodego łódzkiego środowiska artystycznego, z myślą o budowaniu kapitału kreatywnego miasta i jego wizerunku. Wieloznaczny tytuł można odnieść do obecnego stanu miasta poddawanego przebudowie, jednak przede wszystkim oznacza on zachodzące zmiany społeczne. Artyści wypowiadają się w różnych dziedzinach sztuki. *

Ku czci Chełmońskiego

W Muzeum w Łowiczu (Stary Rynek 5/7) **5 IV** o godz. 17 zostanie otwarta wystawa pt. „**Młodo-polskie fascynacje. Malarstwo polskie z kolekcji prywatnej**” (pod patronatem „Kalejdoskopu”) – z okazji setnej rocznicy śmierci związanego z ziemią łowicką Józefa Chełmońskiego. Na ekspozycji, pokazywanej wcześniej w Muzeum Miasta Łodzi, można zobaczyć obrazy artystów współczesnych Chełmońskiemu, żyjących na przełomie XIX i XX w., w tym Juliana Fałata, Jana Stanisławskiego czy Leona Wyczółkowskiego. *

Trzy dekady na Wschodniej

Łódzka Galeria Wschodnia, legenda ruchu neoawangardowego, obchodzi jubileusz. Wystawę z tej okazji, zatytułowaną „**Prolegomena do nauk ekonomicznych prowadzonych od kuchni. Trzydzieści lat Galerii Wschodniej**” otworzy **25 IV** o godz. 18 Muzeum Sztuki (ul. Więckowskiego 36).

To najstarsza, a zarazem jedna z ostatnich galerii autorskich w Łodzi. Wystawa ma odpowiedzieć, co stoi za fenomenem długowieczności zlokalizowanej w mieszkaniu przy ul. Wschodniej 29 przestrzeni eksperymentu. Koncentruje się na ekonomiczno-społecznych uwarunkowaniach działalności galerii. Gośćmi jubilatów będą: Karolina Breguła, Goldex Poldex, Marcin Polak, Józef Robakowski, Tomasz Szerszeń i Ewa Zarzycka. *



Jeszcze o powstaniu styczniowym

Muzeum Ziemi Wieluńskiej w Wieluniu zaprasza **I IV** na otwarcie wystawy „**Powstanie Styczniowe w prasie zagranicznej. Ryciny z kolekcji Krzysztofa Kura**”. Na ekspozycji będzie można podziwiać ponad 200 oryginalnych rycin pochodzących z zagranicznych gazet z lat 1860-1868. Przedstawia-

ją one życie codzienne sprzed wybuchu powstania styczniowego, sceny poświęcone potyczkom i bitwom powstańczym. Otwarcie wystawy będzie towarzyszył koncert w wykonaniu artystów z warszawskiej Filharmonii im. Traugutta, zatytułowany „Boże, coś Polskę”.

*

Kobiece story

W Galerii FF (Łódzki Dom Kultury, ul. Traugutta 18) **do 18 IV** można oglądać wystawę fotografii **Patrycji Dołowy** pt. „Alternatywne historie”.

Artystka odwołuje się do wspólnoty kobiet. „Sielankowy obraz damsko-męskiej rodziny to w sensie praktycznym twór rewolucji lat 60. XX wieku. Do dziś zresztą nie zawsze się sprawdza...” – pisze Patrycja Dołowa. „W *Alternatywnych historiach* pytam o to, co ukryte, o antyhistorię, o niewidzialne związki kobiet. (...) Razem z modelkami szukamy starych rodzinnych pozowanych zdjęć i przerabiamy je na zdjęcia czysto żeńskie. Fotografuję autentyczne pary, grupy dziewczyn, które wiodą wspólne życie (...). W pewnym sensie zmyślamy, ale tak właściwie to przywołujemy pamięć naszych prabab, bab, ciotek, mam i naszą własną. (...) Tylko co jest tu *autentyczne*? To właśnie moje przewrotne pytanie o *prawdę* obrazu, prawdziwość doku-



mentacji, autentyczność oficjalnej historii i istotę fotografii jako medium”.

Zdjęciom towarzyszy instalacja – pokój z rekwizytami, strojami. Przestrzeń zachęca do interakcji.

*

TVP
ŁÓDŹ

MAGAZYN KULTURALNY

w sobotę 12, 26 kwietnia o godz. 20

ŁÓDZKIE WIADOMOŚCI DNIA

WYDANIE GŁÓWNE - godz. 18.30

TVP
ŁÓDŹ

Z M I E N I A M Y S I Ę D L A C I E B I E

„**Kochanie, chyba cię zabiłem**”, czarna komedia, Polska, reż. Jakub Nieścierow, obsada: Zbigniew Zamachowski, Marcin Korcz, Arkadiusz Jakubik, Ireneusz Czop, Roma Gąsiorowska. *Kacper, pracownik wypożyczalni filmów, przypadkowo staje się posiadaczem płyty DVD z zarejestrowanym morderstwem.*

„**Hardkor Dysko**”, dramat, Polska, reż. Krzysztof Skonieczny, obsada: Marcin Kowalczyk, Jaśmina Polak, Agnieszka Wosińska, Janusz Chabior. *Marcin przyjeżdża do pełnej kontrastów metropolii, gdzie poznaje nastoletnią Olę. Dziewczyna jednak nie ma pojęcia, że jego przybycie wiąże się z planem zemsty...*

„**Gabriel**”, familijny, Polska, reż. Mikołaj Haremski, obsada: Paweł Królikowski, Zbigniew Zamachowski, Tomasz Saprzyk, Krzysztof Globisz. *Pasją 12-letniego Tomka jest motoryzacja, dlatego cały wolny czas spędza w warsztacie samochodowym. Pewnego dnia chłopak rusza na poszukiwanie ojca.*

„**Niebo istnieje... naprawdę**”, dramat, USA, reż. Randall Wallace, obsada: Greg Kinnear, Connor Corum, Kelly Reilly. *Mały chłopiec umiera i spotyka Boga, a następnie wraca do życia i opowiada swoją zadziwiającą historię.*

„**Camille Claudel 1915**”, dramat, Francja, reż. Bruno Dumont, obsada: Juliette Binoche, Jean-Luc Vincent. *W ośrodku dla obłąkanych rzeźbiarka Camille Claudel czeka na odwiedzin swojego brata Paula. Miota się między paranoją a apatią, na zmianę wściekła i uduchowiona.*

„**Imigrantka**”, dramat, USA, reż. James Gray, obsada: Marion Cotillard, Jeremy Renner, Joaquin Phoenix, Dagmara Dominczyk. *Dwie młode Polki, siostry, wyruszają do Ameryki w poszukiwaniu lepszego życia. Chora na gruźlicę Magda zostaje poddana kwarantannie. Ewa zdobywa Amerykę na własną rękę.*

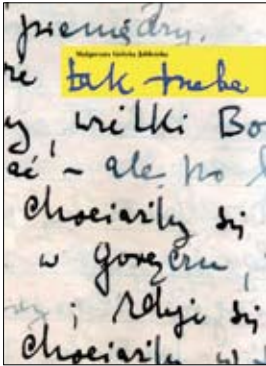
„**Droga do zapomnienia**”, dramat, Australia, W. Brytania, reż. Jonathan Teplitzky, obsada: Co-



„Droga do zapomnienia”

lin Firth, Nicole Kidman, Hiroyuki Sanada, Stellan Skarsgård. *Film na podstawie autobiograficznej książki Erica Lomaksa, opisującej jego doświadczenia z czasów II wojny światowej.*

„**Salvo. Ocalony**”, kryminał, Włochy, Francja, reż. Fabio Grassadonia, Antonio Piazza, obsada: Saleh Bakri, Luigi Lo Cascio, Sara Serraiocco. *Samotny, bezwzględny 30-latek Salvo należy do sycylijskiej mafii. W akcie zemsty zakrada się do domu innego mafiosa. Przez przypadek spotyka tam jego siostrę Ritę.*



Małgorzata Golicka-Jabłońska „Tak trzeba”. Opracowanie graficzne Zbigniew Koszałkowski. Dom Literatury w Łodzi i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2013.

Bardzo interesująca, solidnie opracowana opowieść o prof. Stefani Skwarczyńskiej – światowej sławy teoretyku i historyku literatury oraz jej córce – prof. Marii Olszewskiej, uznanym biologu. Poznajemy także bliżej losy lekarza i poety Wacława Olszewskiego, pierwszego męża Marii.

Małgorzata Golicka-Jabłońska nie poprzestała na zebraniu rozproszonych i mało znanych lub po raz pierwszy ujawnionych świadectw: listów, fotografii, dokumentów. Sięgnęła także do wspomnień i zapisków przechowywanych w archiwach domowych, tak ufnie udostępnionych jej przez rodzinę Skwarczyńskich. Sama także przeprowadziła wiele rozmów z ludźmi znającymi bohaterów książki lub z nimi współpracujących. Cytuje ich bardzo dokładnie, a rozmowy dokumentuje w obszernych przypisach. Nic dziwnego: jest absolwentką etnografii i reporterką, autorką kilku książek, m.in. znakomitej pozycji „Ojciec Stefan SJ” o znanym w Łodzi jezuitcie, księdzu Miecznikowskim.

„Tak trzeba”, słowa wypowiedane często przez prof. Skwarczyńską – mogą stanowić motto życiowe wszystkich bohaterów tej książki. Ich losy pokazują, jak rodziła się polska inteligencja i jej etos oraz jak musiała – i potrafiła – radzić sobie w trudnych okresach historycznych.



Tomasz Bolanowski „Architektura okupowanej Łodzi. Niemieckie plany przebudowy miasta”. Dom Wydawniczy Księży Młyn, Łódź 2013.

Łódź, włączona przez okupantów do Kraju Warty, miała stać się prawdziwym niemieckim miastem i temu służyły plany jej kompleksowej przebudowy. Zaplanowano liczne wyburzenia i budowę nowego centrum. Kraj Warty miał być wzorcowym okręgiem Rzeszy i przykładem dobrze przeprowadzonej germanizacji. W miejsce dotychczasowych mieszkańców – Polaków i Żydów – mieli się tu przecież osiedlić Niemcy.

Ciekawostką jest fakt, że plany niemieckie wywarły wpływ na powojenny kształt miasta, a same w znacznym stopniu nawiązywały do przedwojennych opracowań polskich urbanistów.

Czytelnik znajdzie w książce dokładne omówienie planowanych i podjętych przez okupanta prac (m.in. budowa kolejowego dworca przelądkowego na Olechowcu, tereny zielone, osiedla na Stokach i na Przylesiu, plany ujednolicenia Piotrkowskiej, czyli wyrównanie wysokości budynków i usunięcie wszelkich elementów dekoracyjnych). Liczne zdjęcia z czasów wojny oraz rysunki i tabele, a także współczesne fotografie ukazujące obecny wygląd zrealizowanych w czasie okupacji obiektów sprawiają, że książka zainteresuje zarówno historyków, jak i miłośników Łodzi i jej architektury.

Sto lat to za mało

– *Wiek mnie przygniata, ciężko byłoby mi wstać, a jak wstanę, to już może nie usiądę* – żartował Leszek Rózga, pozostając w fotelu, gdy z okazji 90. urodzin przekazywano mu liczne „wyrazy uznania i wdzięczności”. – *Sily już nie te, ale głowa jeszcze pracuje. Z racji wieku na świat spoglądam coraz szerzej i coraz wyżej.*

Ten wybitny grafik i malarz urodzony w Zgierzu, a związany z Łodzią, swoje urodziny 18 marca spędził – jak się należy – w galerii. Konkretnie – w Re:Medium, jednym z miejsc podległych Miejskiej Galerii Sztuki, od lat zaprzyjaźnionej z twórcą. A fotel, w którym go posadzono, nie był pierwszym lepszym

– powstał według projektu innego wybitnego łódzkiego twórcy, Romana Modzelewskiego.

Leszek Rózga jest wrażliwy na to, co dzieje się wokół niego, dlatego nie mógł nie wspomnieć o sytuacji na Krymie. Zaniepokojony, ekspresyjnie odczytał sonet krymski Adama Mickiewicza pt. „Burza”. Po zakończeniu rozładował atmosferę: – *Ostatni raz czytałem go 80 lat temu w szkole...*

Wśród gości nie mogło zabraknąć innych ważnych seniorów łódzkiej sztuki, studentów samego Władysława Strzemińskiego: Stanisława Fijałkowskiego (na zdjęciu poniżej na pierwszym planie) i Marii Kondek (na zdjęciu obok). *

Zdjęcia: DARIUSZ KULESZA







Patrycja Dołowy, z cyklu „Alternatywne historie”. Wystawa w Galerii FF (ul. Traugutta 18), czynna do 18 IV.

Na Międzynarodowy Dzień Teatru. Trochę *post.*



Andrzej Poniedziałki

*Gdyby nie skłonność do obcowania z nierzeczywistością,
gdyby nie cudowna dyspozycja do tworzenia fikcji
– dotąd nie latalibyśmy po niebie, ani nie dotarlibyśmy
do głębin oceanów.*

Gustaw Holoubek

*Życie jest: PRZY – LUB – NIE – PRZYJEMNE
To schowaj się w tym LUB
Miej życie prób – nie – codzienne*

*Tam
– TU
W tym LUB
Nie raz, nie dwa
Zdarza się ta
Srebrzysta mgła
Która utula oczy i uszy
Jeżeli duszną jest ta mgła
To – Bo – ona
jest od duszy*

*Kochaj tę mgłę
Znikomy cud wyobraźni
Kochaj tę mgłę
„Być, albo nie być“ – razem – różniej*

*Kochaj tę mgłę
Znikomy cud wyobraźni*

*Teatr – to sen
Który się śni przyjaznej jaźni*

*Wodzu! Prowadź!
Prowadź Wodzu
Skoro świat od lat nas woła
Teatr, Ci Wodzu – może i piątym kołem u wozu
Ale gdzie?
jedzie się?
Bez zapasowego koła?*

*Kochaj tę mgłę
Znikomy cud wyobraźni
Kochaj tę mgłę
„Być, albo nie być“ – razem – różniej*

*Kochaj tę mgłę
Znikomy cud wyobraźni
Teatr – to sen
Który się śni przyjaznej jaźni*

Taniec na pierwszym planie

Zespół baletu nie musi być tylko barwnym tłem dla śpiewaków – mówi KAROLINA REJNUS, solistka baletu i asystentka choreografa Teatru Muzycznego w Łodzi.

Janusz Janyst: – Z czasów wczesnej młodości pamiętam w balecie operetki panów z dość wyraźnie zarysowanymi brzuskami i panie w wieku co najmniej balzakowskim.

Karolina Rejnus: – Obecnie nasz zespół jest znacznie odmłodzony, choć mamy także tancerzy dojrzałych. Jest to jednocześnie zespół legitymujący się w pełni profesjonalnym przygotowaniem zawodowym, co, jak wiem, kiedyś też nie było regułą. Większość koleżanek i kolegów ukończyła, tak jak i ja, Ogólnokształcącą Szkołę Baletową im. Feliksa Parnella w Łodzi, a niektórzy szkołę warszawską, gdańską lub poznańską. Jeden członek zespołu wykształcenie taneczne zdobywał na Ukrainie. Na etacie jest osiem tancerek i sześciu tancerzy. W razie potrzeby doangazowywane są dodatkowe osoby.

Ostatnio balet Teatru Muzycznego zaistniał wyraźnie dzięki dwóm autonomicznym przedstawieniom

tanecznym: „All That Jazz Between Us” (premiera w roku 2008) i „Łajzie” z ubiegłego sezonu.

Udział w tych spektaklach, przygotowanych od strony reżyserskiej i choreograficznej przez kierownika baletu, Artura Żymelkę, dał nam sporo satysfakcji. Bardzo mobilizująca była świadomość, że cała odpowiedzialność za ostateczny rezultat artystyczny spoczywa w naszych rękach – i nogach! Czekamy na kolejną tego typu inicjatywę, dającą możliwość sprostania nowym wyzwaniom i udowodnienia, że zespół baletu w Teatrze Muzycznym nie musi być tylko barwnym tłem dla śpiewaków.

Wspomniane widowiska to chyba dobra odmiana po wstawkach baletowych w operetkach, komediach muzycznych bądź musicalach? Tym bardziej że, w wyniku permanentnego niedofinansowania łódzkiej placówki, częstotliwość premier nie jest duża.

– Wolelibyśmy funkcjonować zawodowo podob-



Zdjęcia: KATARZYNA GRZELAKOWSKA

nie jak koledzy z teatrów opery i baletu, gdzie taniec bywa nie tylko komponentem przedstawień operowych, niekiedy zresztą w symbolicznym wymiarze, ale i tworzywem podstawowym w spektaklach stricte baletowych – choć Teatr Wielki w Łodzi z naszego punktu widzenia nie jest tu akurat najlepszym wzorem. Spełnienie artystyczne w zawodzie to już zupełnie odmienna i bardzo indywidualna kwestia, która, moim zdaniem, wcale nie zależy od nazwy instytucji, w której się pracuje.

Powróćmy do sceny przy ul. Północnej. Jaka jest różnica między tańcami pojawiającymi się w operetkach i musicalach?

– Wstawki baletowe w operetkach najczęściej opierają się na technice tańca klasycznego, niekiedy dziewczyny tańczą na pointach. Natomiast musicale wymagają już zupełnie odmiennego ruchu, wczucia się np. w styl tańców jazzowych. Tu na ogół trzeba

też inaczej zachowywać się na scenie. Tancerze muszą nierzadko... łączyć taniec ze śpiewem, stawiane są też przed nami konkretne zadania aktorskie.

Przywołując taneczne wstawki z „Wesołej wdówki”, „Krainy uśmiechu” czy, ostatnio, z musicalu „Zorro”, śmiem twierdzić, że balet Teatru Muzycznego tańczy coraz lepiej.

– Miło to słyszeć. Uważamy, że nawet krótkie wejścia na scenę – jak choćby w wystawianym drugi sezon z powodzeniem „dziwowisku” kabaretowym „Jeszcze nie pora nam spać”, zrealizowanym wspólnie z Grupą Rafała Kmity i choreografem Jarosławem Stańkiem – jeśli są solidnie przygotowane, to zostaną docenione przez widzów. Oczywiście, poziom zespołu zależy w dużej mierze od systematycznej pracy. Codziennie mamy od rana tzw. lekcję, w ramach której doskonalimy technikę klasyczną. To baza, podstawa, bez której trudno byłoby osią- >

gnąć odpowiednią linię czy lekkość w tańcu, bez względu na jego odmianę oraz styl.

Zaczynamy od *plié* przy drążku. To rodzaj przysiadu, uginanie kolan przy równoczesnym wykręceniu nóg w różnych pozycjach baletowych. Po partii ćwiczeń przy drążku przechodzimy „na środek” i powtarzamy wybrane ćwiczenia bez pomocy drążka.



Ćwiczymy *aplomb* (utrzymanie równowagi), skoki, piruety, lekcję kończymy *fouetté*, czyli obrotami na jednej nodze, będącymi zazwyczaj kulminacją i popisem umiejętności technicznych baleriny pod koniec *pas de deux*. Lekcja zarazem rozgrzewa ciało i przygotowuje mięśnie do dalszej pracy. Bo potem – przed południem oraz wieczorem – uczestniczymy w próbach. Odbywają się one pod czujnym okiem kierownika baletu, ale jako asystentka choreografa również je prowadzę.

Czym się wyróżnia pani praca jako solistki?

– Tylko tym, że jeśli jest przewidziana jakaś partia solowa, to ją wykonuję. We wszystkich innych wypadkach, a więc także w trakcie codziennych ćwiczeń, robię to samo, co koleżanki.

W koncercie inscenizowanym pt. „Ten piękny, wspaniały świat” na uznanie zasłużyła m.in. w interpretacji pani i partnerujących jej kolegów dynamiczna parafraza tanga. Ile czasu zajęło przygotowanie tego numeru?

– „El Tango” stanowi element spektaklu „All That Jazz Between Us”. Numer powstał tuż przed premierą, mieliśmy niecały tydzień na jego przygotowanie. Od premiery tańczę go z Robertem Sarneckim, natomiast Tomasz Moskal ostatnio zastąpił kontuzjowanego Krzysztofa Baczyńskiego; na premierze wystąpił Rafał Dudek. Całe przedstawienie zrealizowane zostało podczas remontu Teatru Muzycznego i pojawiało się sporadycznie na różnych scenach zastępczych.

Czy solista miewa jakiś wpływ na kształt tego, co tańczy?

– We wspomnianym układzie choreograf Artur Żymełka był otwarty na nasze sugestie co do szczegółów.

Jako tancerka a zarazem asystent choreografa współpracowała pani z różnymi choreo-

grafami – może nasuwają się jakieś uwagi, porównania?

– Współpracowałam m.in. z Janiną Niesobską, Ingą Pilchowską, Jarosławem Stańkiem czy wcześniej, jeszcze nie jako asystentka, z Henrykiem Rutkowskim. Praca z każdym choreografem wyglądała inaczej. Mówiąc najogólniej – jedni pracują szybko, inni skupiają się na szczegółach, niektórzy są surowi, inni starają się zmniejszać dystans między sobą a tancerzami. Dało to bardzo ciekawe doświadczenia i od każdego wiele się nauczyłam.

Ma pani szerokie zainteresowania, wynikające m.in. z ukończenia również szkoły muzycznej, a potem studiów uniwersyteckich.

– Najpierw chciałam być pianistką, ale ostatecznie wybrałam taniec. Po szkole baletowej podjęłam, równoległe z pracą zawodową, studia kulturoznawcze na Uniwersytecie Łódzkim. Ukończyłam filmoznawstwo, pisząc pracę magisterską pt. „Analiza porównawcza obrazów społeczeństwa konsumencię w światowym kinie przełomu XX i XXI wieku”.

Nie wybrała pani tematu związanego np. z tańcem w musicalu filmowym. Czy dlatego, aby całkowicie oderwać się od spraw zawodowych?

– Sądziłam wówczas, że zajęcie się tańcem w filmie byłoby poniekąd pójściem na łatwiznę. Oczywiście później żałowałam decyzji, która okazała się zupełnie niepraktyczna, zważając na mój ciągły brak czasu. Tak czy owak wykłady, a następnie zbieranie materiałów do pracy magisterskiej, czytanie i wreszcie pisanie – wszystko to stało się świetną okazją do zapoznania z zupełnie innym światem niż mój codzienny. Teraz mam nową odskocznnię – podjęłam studia podyplomowe dotyczące zarządzania kulturą.

Co nie oznacza chyba, że wolałaby pani zarządzać niż tańczyć?

– O nie (*śmiech*), ja taniec kocham, on daje mi prawdziwą radość. Chcę jednak zdobyć dodatkowe kwalifikacje, by przed emeryturą, w wieku, po-

wiedzmy, pięćdziesięciu lat, mieć odpowiednie zajęcia. Koleżanki i koledzy rozumują podobnie – chcą się na przyszłość zabezpieczyć, wybierają najczęściej studia w zakresie pedagogiki tańca. Zawsze uważałam, że artysta, niezależnie od tego, czym się zajmuje, powinien poszerzać horyzonty myślowe.

Jak postrzega pani miejsce teatru muzycznego w obecnej kulturze?

– Myślę, że miejsce to wcale nie jest marginalne i nie ogranicza się wyłącznie do sfery czystej rozrywki. Okazja do refleksji pojawia się już przecież w klasycznych musicalach, takich jak „Człowiek z La Manchy”, „Skrzypek na dachu”.

Gdyby pani zarządzała...

– Wydaje mi się, że o randze konkretnej placówki w dużym stopniu decydować może jasne określenie jej profilu. A później konsekwentna realizacja planu i budowanie wizerunku. Zapewne warto podtrzymać tradycję operetkową, która coraz częściej zastępowana jest bardziej współczesnymi formami widowisk muzycznych. Niemniej teatr muzyczny powinien być otwarty na różne formy twórczości. Na przykład na scenie głównej może realizować duże projekty, a na kameralnej wystawiać mniejsze spektakle, recitale, adresowane do węższego grona odbiorców. Tu byłaby też dobra sposobność do eksperymentowania. Zdaję sobie sprawę, że obecnie jedną z najistotniejszych kwestii są względy ekonomiczne, a to, niestety, prawie zawsze weryfikuje zamierzenia twórców i zmusza do ustępstw. Optymalne byłoby posiadanie licznych sponsorów i nieograniczonego budżetu, pozwalającego na kilka a nawet kilkanaście premier w sezonie. Ale teraz niejedna placówka walczy po prostu o przetrwanie.

Ile lat jest już pani na scenie?

– Minęło jedenaście.

Trema już chyba dawno zniknęła?

– Wcale nie, brak tremy świadczyłby o rutynie, a w moim pojęciu rutyna oznaczałaby zawodowy koniec.

Alternatywa z Łodzią w tle

Rafał Gawin

W trzecim plebiscycie „Gazety Co jest grane” na Łódzką Płytę Roku 2013 zwyciężyli weterani lokalnego rynku muzycznego. Głosujący za pomocą SMS-ów wybrali „Wyspę” Brunona Schulza, natomiast nagroda jury powędrowała do Psychocukru za album zatytułowany „Diamenty”.

„Wyspa” to już czwarty krążek Brunona Schulza, tym razem wydany przez Fonografikę. W stosunku do wcześniejszych dokonań zespołu największa zmiana zaszła w brzmieniu: mniej tu gitarowych chropowatości, a więcej elektroniki. Nad produkcją i realizacją nagrań czuwał Paweł Cieślak, współodpowiedzialny za jeszcze dwie płyty z finałowej jedynastki: „Różowy album” i „Dziwo”.

„Diamenty” to również czwarty album w dorobku Psychocukru. Najbardziej minimalistyczny, ale jednocześnie spójny i wyrazisty. Płytę łódzkie trio nagrało „na setkę”, tj. grając jednocześnie, żeby odzwierciedlić energię, jaka tkwi w tej rock’n’rollowej i garażowej muzyce. Jednak produkcja jest selektywna, co zespół zawdzięcza Mikołajowi „Noonowi” Bugajakowi, znanemu raczej w środowisku hip-hopowym.

Do rywalizacji zgłoszono trzydzieści płyt z premierowym materiałem, o trzy mniej niż w przypadku ubiegłorocznej Łódzkiej Płyty Roku, ale o dwie więcej w stosunku do premierowej odsłony plebiscytu. Jury w składzie: Bartek Chaciński („Polityka”), Filip Kalinowski („Aktivist”, Red Bull Music

Academy Radio), Robert Sankowski („Gazeta Wyborcza”), Jędrzej Słodkowski („Gazeta Wyborcza”) i Piotr Stelmach (Polskie Radio Program III) zakwalifikowało do finału jedenaście krążków.

Ich stylistyczna rozpiętość była szersza niż w przypadku zeszłorocznego finału, ale łatwiej je zaszufładować. Szeroko i alternatywnie rozumiany rock reprezentowały cztery krążki: oprócz zwycięzców obu głosowań, także post-nowofalowe Wieże Fabryk i ich budująca melancholijno-industrialny klimat płyta „Cel i światło” oraz lżejsza, bardziej popowa odsłona zespołu Fonovel – „Różowy album”, niepozbawiony charakterystycznej dla zespołu rytmiki i przebojowości. Kolejne cztery krążki można umieścić na wąskiej półce z napisem „dla koneserów”: „Dziwo” formacji o enigmatycznej nazwie 11, którą Paweł Cieślak współtworzy ze znanym z 19 wiosen weteranem łódzkiego undergroundu, Marcinem Prytem, ambientowe „Lord Said Go to the Devil” tajemniczego K. i „If I Am What You Want Sometimes Skinny Girls” artysty Macieja Sławskiego oraz „Ostre noże” podpisane jako Dźwięk-Bud: zestaw zbliżonych do jazzu improwizacji, zgranych



Bruno Schulz w pubie Łódź Kaliska

Foto: DARIUSZ KULESZA

z odgłosami miasta pieczołowicie rejestrowanymi przez Suavasa Lewego. Ten zestaw płynnie pozwala przejść do „Meet, Meat” Hunger Pangs, rozimpro wizowanego polsko-duńskiego tria jazzowego, któremu lideruje Marek Kądziała. Stawkę uzupełniły dwa albumy z okolic hip-hopu: „Haos” liderów nie tylko łódzkiej sceny – O.S.T.R.-a i Hadesa oraz Polskie Karate z krążkiem o tym samym tytule.

W porównaniu z ubiegłoroczną Łódzką Płytą Roku w finale pojawiło się więcej albumów instrumentalnych i wirtuozerskich, jednocześnie – bardziej skrajnych jeśli chodzi o gatunki muzyczne, a przez to adresowanych do węższego, wyspecjalizowanego grona odbiorców. W tym kontekście nakład płyty K. – 111 egzemplarzy, jest bardzo wymowny. Jurorzy postawili na mainstream w rozumieniu słuchaczy nowości ze świata alternatywy. Bardziej tradycyjne propozycje, jak choćby album tria Witolda Janiaka czy interpretacje wierszy na akordeonie i trąbce Jakuba Pawlaka nie miały szans na dostrzeżenie, ponieważ nie mogły spełnić tak postawionych wymagań.

Ponadto w finale zabrakło mi poprockowego Rev-

lovers, który delikatność łączy z chwytliwymi melodiami i dobrze sprawdza się zarówno na koncertach, jak i na imprezach tanecznych. Comy, która w plebiscytach najbardziej prestiżowego magazynu w branży rockowej „Teraz Rock” zajmuje wysokie miejsca, nagrywa płyty dla earMusic, a w regionalnym głosowaniu przepada, zresztą jak w ubiegłym roku jej frontman, Piotr Rogucki. Wreszcie – a może przede wszystkim – Controlled Collapse, jednej z oryginalniejszych propozycji na łódzkiej scenie muzycznej od lat: zabójczego połączenia rocka, industrialu, techno i metalu, jakby Rammstein spotkał Prodigy, a riffy gitarowe powierzył Kirkowi Hammetowi z Metalliki.

W tym momencie pojawia się pytanie o ideę podobnych plebiscytów: czy Łódź, niezależnie od poziomu jej sceny offowej (według ekspertów – jednej z najciekawszych w kraju), musi koniecznie pokazywać tylko swoją mocno przetworzoną i uduziwnioną twarz? Czy musi udowadniać, jak wielką jest alternatywą? Następną edycja – tradycyjnie – wystartuje w styczniu przyszłego roku. Liczę, że twórczo odpowie na to pytanie. *

Jesteśmy **wkurzeni!**

Józef Robakowski w lutym skończył 75 lat. W dziejach sztuki nowoczesnej to wieczność, a on cały czas pozostaje na topie. Jako artysta tworzy, jako historyk sztuki docenia innych twórców, jako muzealnik ich promuje – bo bywa też kuratorem wystaw. Stworzył Galerię Wymiany myśli, współtworzył słynny Warsztat Formy Filmowej, Kulturę Zrzuty, wcześniej grupę Zero-61. Zainicjował Nagrodę im. Katarzyny Kobro. Wykłada w Szkole Filmowej w Łodzi.

Aleksandra Talaga-Nowacka: – Skąd w artyście potrzeba eksperymentowania?

Józef Robakowski: – Sztuka musi być poszukiwaniem, efektem przemian mentalnościowych. Należę do pierwszego pokolenia, które postawiło na multimedia. W Toruniu historii sztuki uczyli nas profesorowie, którzy nakierowali nas na sztukę dla sztuki. Trzeba było znaleźć nowe środki, sposoby rozumienia działania artysty. Tak powstało polskie kino eksperymentalne. Jeszcze w Toruniu narodziło się środowisko nowej sztuki. Potem z tymi ludźmi spotkałem się w Szkole Filmowej w Łodzi – przyjechali tu m.in.: Andrzej Różycki, Antoni Mikołajczyk, Wojciech Bruszewski, historyk sztuki Janusz Zagrodzki.

Czego tradycyjna szkoła filmowa mogła nauczyć eksperymentatorów?

– Do Łodzi przyjechaliśmy, żeby się nauczyć warsztatu, zyskać nowe środki wyrazu. Gdy pozna się technologię, można być partnerem artystów z Zachodu. Wiedza i to, że pracowaliśmy na profesjonalnym sprzęcie, to były nasze walory. To, że z socjalizmu przywieźliśmy nową technologię i taką jakość, było zasługą szkoły filmowej. Ale postawiliśmy na samokształcenie. Jako Warsztat Formy Filmowej odwoływaliśmy się do pojęcia czystego kina, polegającego na wizualności, kontempla-

cji, estetycznej satysfakcji – bez zakodowanej treści. Przedwojenni artyści i teoretycy: Themersonowie, Karol Irzykowski byli ojcami naszych poszukiwań. Stworzyliśmy pierwsze w Polsce filmy czysto abstrakcyjne. Wtedy kontakt ze światem był podstawowym elementem naszego działania. Gdy tworzy się grupa, następuje dodawanie racji jednej osoby do drugiej, budowanie jakości szybciej niż w pojedynkę. Warsztat Formy Filmowej na tym polegał. W latach 1970-75 wzbogacaliśmy się nawzajem. A także szkołę. Reżyserzy: Koterski, Wiszniewski, Barański, Szulkin, Królikiewicz korzystali z tego, co powstało w Warsztacie.

Walczyliśmy o nowe media w muzeach. Szukaliśmy zwolenników sami, z jednym wyjątkiem – dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi Ryszard Stanisławski umożliwił nam kontakty. W 1972 r. przyjechał tu Richard Demarco, który zabrał nas z całym highlifem polskiej sztuki na wielką wystawę do Edynburga. Okazało się, że nasze prace są interesujące, nowatorskie. Staliśmy się partnerami artystów zachodnich. W 1981 r. zorganizowaliśmy w Łodzi wystawę Konstrukcja w Procesie – przyjechało około 50 wybitnych artystów, krytyków i kuratorów z całego świata. Za własne pieniądze, bo chcieli tu być.

Jak wyglądała walka o nowe media w muzeach?

– Mieliliśmy całą strategię. Obiekty fotograficzne

ROZMOWY

zaczęliśmy robić dlatego, że fotografia nie była traktowana jako sztuka. Poprzez foto- przedmiot zbliżaliśmy się do rzeźby, a rzeźby interesowały Muzeum Sztuki. Dowodzi- liśmy, że może być on rów- nie interesujący jak rzeźba, a w dodatku jest interaktyw- ny. Ta zmiana statusu obiektu sztuki zmieniła też nasze po- strzeganie – zrozumieliśmy, że fotografia nie musi być real- nym obrazem świata. To były gesty dadaistyczne. Dadaizm przewartościował światową twórczość: kiedyś sztuka miała być piękna – nie, ona musi być też w kontakcie z zachodzący- mi przemianami mentalno- ściowymi. A kontakt można zbudować i przez list, i przez film, i przez perfor- mance. To wszystko musiało się pojawić w Polsce. I pojawił się Jerzy Beres, Zbigniew Warpechowski, który mieszkał w Łodzi, tu mieszkała też Ewa Partum. W latach 70. powstało w naszym mieście silne multimedialne środowisko artystyczne.

To środowisko zmieniło się w ciągu 40 lat...

– Wtedy było zgrane. W latach 70., 80. odgrywa- ło ważną rolę w Polsce. Ogólnopolska wystawa „Lo- chy Manhattan” z 1989 r. miała duże znaczenie ze względu na nawiązanie kontaktu międzypokolenio- wego. W 1997 r. Anda Rottenberg zrobiła w Zachę- cie gigantyczną ekspozycję łódzkiego ruchu neo- awangardowego. Z tego środowiska wypromienio- wała m.in. Łódź Kaliska. Wiele osób się chwali, że rozkwitło w Łodzi: jak Zbigniew Libera na Strychu. Do tego szkoła filmowa, Muzeum Sztuki.

Prestiż miasta był wysoki, a dziś to całkowicie sia- dło. Codzienne życie zgniotło sztukę. Środowisko siadło też intelektualnie. Jest tu wprawdzie autory- tet prof. Ryszard Kluszczyński, jest Tomasz Załuski, ale wielu wyjechało, jak kurator Adam Szymczyk



Foto: DARIUSZ KULESZA

75. urodziny Józefa Robakowskiego w Szkole Filmowej w Łodzi

czy historyk sztuki Łukasz Ronduda – nie dano im w Łodzi funkcji, możliwości. Artyści młodego po- kolonia też powyjeżdżali. Co z tego, że jedno dzieł- ko zostanie pokazane w Muzeum Sztuki. To musi być stały kontakt, artysta musi być umieszczany w kontekście światowym. A Muzeum Sztuki w ogó- le nie ma kontaktu z łódzkim środowiskiem arty- stycznym. Stanisław Fijałkowski nie bierze udziału w kolejnej już wystawie w muzeum, w nowej odsło- nie kolekcji nie ma nawet Henryka Stażewskiego. Jesteśmy jako środowisko mocno wkurzeni.

Galeria Atlas Sztuki robi ważne wystawy. Ale jest w sporze z Muzeum Sztuki – to kłótnia o teryto- rium: Atlas chciał stworzyć konkurencyjną Spe- cjalną Strefę Sztuki. Straciła trochę energię Gale- ria Manhattan, która w starej siedzibie funkcjono- wała prężniej, Galeria Wschodnia robi coś od cza- su do czasu, Galeria FF, gdy prowadził ją Krzysz- tof Cichosz, liczyła się w Polsce, a dziś jest jedną z wielu, mimo dobrych wystaw. Festiwale fotogra- fii w Warszawie i Krakowie działają coraz prężniej, a łódzki zmarniał z braku możliwości. Mamypotężną konkurencję w postaci muzeów sztuki nowoczesnej >

w Warszawie, Krakowie i Wrocławiu. W Łodzi jedyną szansą jest design, ale też już poznaniacy robią podobne imprezy.



„Pan Jeleń”, wideo, 1992 r.



„Jabłko akustyczne”, wideo, 1993 r.

Nie ma tu żadnego kuratora o ogólnopolskim znaczeniu. Umarło biennale, zresztą beznadziejne. Szkoła plastyczna jest niemrawa w eksponowaniu wartości, którymi się firmuje, czyli Strzemińskiego. Nie ma po co tu przyjeżdżać. To też wina niemocy środowiska, uniwersytetu, szkoły filmowej. Starym się już nie chce, młodzi uważają, że im się należy np. stypendium od miasta.

Można zmienić złą sytuację?

– To kwestia zmiany świadomości. W szkole filmowej jest obecnie chyba najlepszy w Polsce wydział fotografii. Studenci zdobywają nagrody, ale nie mają się gdzie pokazać. Trzeba zbudować środowisko kuratorów i krytyków, namaścić artystów, pokazać, zderzyć z innymi. Muszą rozkwitać, mieć satysfakcję, że są stąd. Tu jest tradycja: Strzemiński, Kobro – wielkie światowe osoby. Katarzyna Kobro to artystka wybitna – o tym trzeba głośno mówić.

Jako kurator-artysta zmagam się twardo z polskim muzealnictwem. Proponuję inny niż obowiązujący rodzaj wystaw. Żeby to zostało zauważone, musi istnieć środowisko krytyków, trzeba by zorganizować sesję – i na niej publicznie spytać: na czym polega dziś poszukujące muzealnictwo. Polskie wystawy państwowe nie ogrywiają teraz istotnej roli w świecie.

Jak dziś promować młodych artystów i co im poradzić?

– Trzeba ich skonfrontować na wspólnych wystawach z mistrzami. Dadzą sobie radę, są dobrze wykształceni, ale muszą chcieć. Gdy młody człowiek jest w dobrym towarzystwie, zaczyna wszystko poważnie traktować, pojawia się odpowiedzialność, rodzaj partnerstwa. Dziś zmieniło się pojęcie twórcy. To nie jest już sobek pracujący dla sławy, ale człowiek aktywny, ryzykujący. Ustawianie charakteru zaczyna się od przedszkolaka. Ja przyjąłem kiedyś dawno strategię, jak zostać Robakowskim. Hodowałem w sobie rodzaj przekory, świadomość, że przy takiej postawie będzie się miało i przeciwników, i zwolenników – przeciwnikami nie należy się przejmować, a na zwolenników uważać. Trzeba pracować po swojemu. Czasem nie warto trzymać z grupą. Wszystkie pozornie atrakcyjne komuny przegrały. W Muzeum Artystów w Łodzi pojawiło się nieróbstwo. Środowisko pokłóciło o to, kto od kogo ściągał. A to wszystko z siebie wynika. Nieważne, kim kto jest, ważne, że imponuje mądrą twórczością i zdecydowaną postawą. *

Biskupka i paranoj

Piotr Grobliński



W portalu Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP znalazłem informację, że Antje Jackelén została prymaską Kościoła Szwecji i arcybiskupką Uppsali. Bracia ewangelicy, których społeczność wydała tak wybitnych pisarzy jak Jerzy Pilch, okazali się mało odporni na wirusa feministycznej lingwistyki. Ulegli modzie lansowanej przez „filolożki” i „kulturoznawczynie”, nakazującej tworzyć na siłę żeńskie odpowiedniki męskich zawodów. W jednym tylko momencie autor artykułu nie poradził sobie z zadaniem – w 1980 roku została ordynowana na księdza diecezji sztokholmskiej. Brak pomysłu? Przecież to takie proste – została księdzą, ksiądzynią, ksiądzką. Wszystko jedno – jakiegokolwiek wyczucie językowe, poczucie smaku czy sensu nie mają znaczenia.

Przypomniało mi to zaproszenie na kolejną manifestację, które dostałem od organizacji Fabryka Równości. Nie lubię fabryk, nie walczę o równość, nie cierpię manif, a jednak dostałem. I wyczytałem, że 8 marca w Świetlicy Krytyki Politycznej odbędzie się spotkanie poświęcone samoorganizacji kobiet. Oczywiście nie poszedłem, gdyż od dziecka nie noszę świetlic. W czasach wczesnej podstawówki wołałem kilka godzin waleśać się z kluczem na szyi niż brać udział w zajęciach świetlicowych. Pannie świetliczanki wydawały mi się wyjątkowo mało ciekawymi osobami i nie sądzę, by coś się zmieniło, gdy świetlice przejęła KP.

W zaproszeniu była też informacja *wśród gości m.in....* **Wśród gości!** Nie wystarczą już filolożki, kulturoznawczynie, dramaturżki i biskupki. Teraz lansowane w mediach i na uniwersytetach (główne ogniska choroby znajdują się na wydziałach huma-

nistycznych) będzie słowo „gościni”. Naukowczynie-feministki uczą niestety studentki kierunków pedagogicznych, co zaowocuje przeniesieniem tego szaleństwa do szkół. Ostatnim bastionem pozostanie armia – jeszcze nie słyszałem o zmianie nazw stopni wojskowych. Nadal pisze się o pani porucznik, a nie o poruczniczce czy poruczniczynie.

Problem był już wielokrotnie poruszany i może wydawać się banalny. W gruncie rzeczy sprawa jest jednak poważna. Za lansowaniem tych idiotyzmów kryje się bowiem orwellowskie (marksistowskie) z ducha przekonanie, że wystarczy zmienić język, by zmienić rzeczywistość. W powieści Orwella *Rok 1984* władza usuwa ze słownika słowa, by uniemożliwić nieprawomocne myślenie. Dzisiejsza obyczajowa lewica chce iść tą samą drogą.

Być może zresztą ta obsesja jest jedną z przyczyn niepowodzeń. Pani psycholog zarabia mniej od swego kolegi psychologa? Nic dziwnego – nikt nie pójdzie leczyć swoich problemów z głową do kogoś, kto mówi o sobie psychołożka. Znam wiele kobiet sukcesu, w trzech miejscach, w których pracuję, moimi zwierzchnikami są kobiety mówiące o sobie „dyrektor” albo „redaktor naczelna”.

Uważam, że językoznawczynie i filolożki powinny iść dalej. Weźmy choćby nazwy chorób. Większość jest rodzaju żeńskiego. Grypa, ospa, odra, różyczka, kiła, angina, szkarlatyna. Czyż dur, koklusz i syfilis są w stanie to zrównoważyć? Podstępni biali heteroseksualni faceci tak to wszystko urządzili, że choroby podświadomie kojarzą się z kobietą. Trzeba to zmienić – piszmy więc o tym grypie, piszmy „gryp atakuje”. Piszmy o paranoju!

Moc będzie z nami

Bogdan Sobieszek

W Bełchatowie powstało niezwykle muzeum. Zwiedzający wyruszają w podróż miliony lat wstecz do czasów, gdy na tym terenie tworzyły się złoża węgla brunatnego. Oglądają, jak dziś robi się z niego prąd. Po interaktywnej ekspozycji oprowadzają: Gaja – matka natura, robot o węglowym sercu i rodzinka gigusiów brunatnych.

Przy okazji rewitalizacji centrum Bełchatowa postanowiono wybudować nowy obiekt przeznaczony na cele kulturalne. Zaplanowano salę widowiskową na 500 miejsc (z balkonem) wyposażoną w profesjonalne oświetlenie, nagłośnienie, fosę dla orkiestry, kieszenie na dekoracje, garderoby dla artystów. Znalazło się też miejsce na pracownię dla amatorskiego ruchu artystycznego – sale taneczne, plastyczne, pracownię rękodzieła, modelarnię. Budynek zagospodaruje Miejskie Centrum Kultury, które dotąd korzystało z dawnej strażnicy Ochotniczej Straży Pożarnej.

Ambicją władz Bełchatowa było jednak nadanie nowemu obiektowi funkcji ponadregionalnej. Pojawił się więc pomysł stworzenia muzeum innego niż wszystkie. A co pokazać w Bełchatowie, jak nie węgiel i prąd. Tak narodziły się Giganty Mocy. Po niespełna dwóch latach budowy interaktywna ekspozycja 1 maja zostanie udostępniona zwiedzającym. Realizacja całego projektu kosztowała ponad 23,5 mln zł, z czego blisko 9 615 tys. zł uzyskano z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego.

– Od chwili podjęcia decyzji o stworzeniu Gigantów Mocy zaczęliśmy śledzić, co dzieje się na rynku wystawienniczym, kto co fajnego wymyślił – mówi Małgorzata Stanasiuk-Mordalska, wicedyrektor MCK w Bełchatowie. – Oglądaliśmy wystawy w kraju i na świecie, także za pośrednictwem Internetu. Poznawaliśmy nowe techniki wykorzystywane przy budowie ekspozycji, ale również nowe interaktywne meto-

dy prezentowania wiedzy. Największe wrażenie zrobiło na nas Muzeum Powstania Warszawskiego dlatego, że jest zarazem proste i w dużej mierze interaktywne. Nie ma przesycenia multimediami, skompli-



Foto: BOGDAN SOBIESZEK

Ząb z kola czerpakowego koparki

kowanego sprzętu, który się szybko psuje i jest drogi. Jest za to oddziaływanie na wszystkie zmysły. Ludzie tworzący Muzeum Powstania Warszawskiego przestrzegali, żebyśmy nie przesadzili z elektroniką, ale dali dzieciom możliwość interakcji manualnej – innego rodzaju niż komputerowa. Układanie amonitu z klocków to też może być fajna zabawa.

Zwiedzanie Gigantów Mocy będzie trwało około dwóch godzin, choć ekspozycja znajduje się na powierzchni tylko 600 m kw. Zaczyna się od podróży wehikułem czasu 150 mln lat wstecz, gdy okolice Bełchatowa w jurze pokrywało płytkie morze tropikalne – oglądamy skamieniałości z tamtego okresu. W następnej sali trafiamy do lasu, który w miocenie wyrósł na miejscu morza. To z roślin z tego okresu powstał węgiel brunatny. Możemy zobaczyć, jaki klimat panował wtedy w Bełchatowie. W gablotach prezentowane są rozmaite ekspozyty geologiczne wydobyte w bełchatowskiej kopalni. Dalsza część podróży wiedzie poprzez złoża, aż docieramy do plejstocenu. Po drodze spotykamy mamuty, których kości znajdowano w wyrobisku. Zwiedzającym towarzyszą przewodnicy, ale po najniższych pokładach ekspozycji oprowadza Gaja – matka natura – i w przekazach multimedialnych opowiada, jak się tworzył węgiel brunatny. Gdy trafiamy do współczesności, wita nas robot o węglowym sercu. Tu zaczyna się część technologiczna wystawy – imitacja wyrobiska z dokładnym odwzorowaniem poszczególnych warstw skalnych. Monitory pokazują pracę w terenie prawdziwego zespołu KTZ, czyli koparki, taśmociągu i zwałowarki. Na samym dole stoją modele tych wielkich maszyn. Droga wiedzie schodami ku górze wokół wysokiej kolumny, na której spoczywa model olbrzymiego zęba z koła czerpakowego koparki.

Na najwyższym poziomie ekspozycji prezentowany jest proces spalania węgla. Widzowie mają wrażenie, że przebywają w kotłowni. Można zajrzeć do wnętrza pieca. Za drzwiczkami emitowany jest film nakręcony w kotle elektrowni. Na innym stanowisku zobaczymy składowisko popiołów i efekty spalania węgla. W kolejnej sali całą ścianę zajmuje pulpit nastawni bloku energetycznego i stąd moż-



Foto: Z ARCHIWUM MICK W BEŁCHATOWIE

Hol nowego budynku

na sterować prezentacją cyklu spalania. Film animowany tłumaczy dzieciom, jak z węgla powstaje prąd. Filmowymi przewodnikami są tu gigusie brunatne – rodzinka składa się z profesora Ohma (najstarsze pokolenie), Dzulki (pokolenie nastolatków) i Woltusia (dzieci najmłodsze). Prezentacje multimedialne i głosy na poszczególnych stanowiskach przekazują wiedzę za pośrednictwem dialogów animowanych postaci.

Oglądamy, jak działa turbina, generator, skąd się bierze prąd. Przy okazji poznajemy 12 sylwetek wybitnych naukowców związanych z elektrycznością. Wreszcie sala poświęcona odnawialnym źródłom energii i działalności proekologicznej kopalni, czyli jak się rekultywuje złoża i zagospodarowuje tereny powyrobiskowe. Podróż pełna wrażeń dobiega końca. Nikt jeszcze jej nie odbył, ale już sama zapowiedź brzmi zachęcająco i wróży sukces przedsięwzięciu.

Działalność interaktywnej ekspozycji PGE Giganty Mocy zainauguruje czterodniowe święto od 1 do 4 maja. Na nowo otwartej scenie teatralnej wystąpi jeden z najwybitniejszych tenorów na świecie – Israel Rand. W ramach Festiwalu Re:Aktor odbędzie się piknik naukowy, pokazy i warsztaty robotyczne, targi pomocy dydaktycznych i zabawek edukacyjnych, a także prezentacja samochodów o napędzie elektrycznym oraz przeglądy filmów Discovery Science.



Rock'n'rolowe życie to mit

Zagraliśmy w Łodzi po raz pierwszy od dłuższego czasu w pełnym składzie. Na koniec powiedziałem „to by było na tyle”. Głupio byłoby marnować okazję na tak udane zakończenie – o zespole COOL KIDS OF DEATH i nie tylko mówi jego wokalista KRZYSZTOF OSTROWSKI, znany też jako rysownik komiksów (pracuje w łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych).

Piotr Kasiński: – Wszystko na to wskazuje, że zespół Cool Kids of Death to już tylko wspomnienie. Nie żal ci?

Krzysztof Ostrowski: – Jasne, że żal, ale ten zespół istniał już chyba trochę za długo. Pewne rzeczy przestały w nim działać. O zbyt wiele spraw już nikomu nie chciało się użerać, na próbę ciężko było się umówić. Właściwie to część grupy chciała ją rozwiązać sporo wcześniej, ale pozostali z przekonania na to się nie zgadzali. Koncert po premierze filmu „C.K.O.D. 2 – Plan Ewakuacji” był dobrą okazją do rozwiązania zespołu. To wyszło naturalnie, bez planowania. Zagraлиś w Łodzi po raz pierwszy od dłuższego czasu w pełnym składzie, bo Kuba ze względu na problemy zdrowotne nie jeździł z nami w trasy. Publiczność w większości składała się z przyjaciół i znajomych. Było super. Na koniec powiedziałem „to by było na tyle” i ludzie odebrali to chyba jako deklarację. Z mojej perspektywy ten koncert był najprzyjemniejszą rzeczą, jaka przydarzyła się zespołowi od lat. Głupio byłoby marnować okazję na tak udane zakończenie.

Czyli szansa na reaktywację raczej nie ma?

– Po ostatnim koncercie właściwie nic do siebie nie powiedzieliśmy. Także tego, że już nigdy więcej ze sobą nie zagramy. Być może nawet zespół istnieje, tylko ja o tym nic nie wiem.

Od „pożegnalnego” koncertu minęło kilka miesięcy. Nie tęsknisz za zespołem?

– Strasznie brakuje mi takiego czysto fizycznego aspektu bycia w zespole – tego, że raz na jakiś czas człowiek może sobie powrzeszczeć, spocić się i potarzać się po scenie. To była świetna okazja do wyżycia, odskocznia od moich codziennych, wymagających skupienia i cierpliwości zajęć. Za tym tęsknię i ciągle szukam czegoś na zastępstwo. Najlepiej na razie sprawdza się śpiewanie przy zmywaniu i czytanie córce przed snem.

Nie myślisz w takim razie o karierze solowej?

– Nie, moja dotychczasowa muzyczna kariera to i tak był zbyt duży zbieg okoliczności. Oprócz re-

gularnego śpiewania w C.K.O.D. tylko raz zdecydowałem się na gościnny występ – nagrałem kawałek z Beneficjentami Splendoru. Mimo zaskakująco pozytywnego odbioru nie przewiduję powtórki.

Na koncertach nie byłeś zbyt grzeczny, a C.K.O.D. było postrzegane jako mocno zbuntowany zespół. Co zostało w tobie z tamtych czasów?

– Wbrew pozorom bardzo dużo. Jako zespół bardzo szybko przekonaliśmy się, że rock’n’rollowe życie po polsku to mit z młodzieżowego serialu. Nie było za bardzo czasu ani okazji, żeby nam odbiło. Po wyładowaniu energii na koncercie spokojnie wracało się do codziennych zajęć przy biurku. I tu dużo się nie zmieniło. Wykładam na uczelni, ale wciąż jako główne zajęcie wpisuję rysownik komiksów. Moja codzienność nie jest codziennością statystycznego Polaka. Poza tym z żoną i córką wciąż mieszkamy w Łodzi, a to wymaga ciągłego buntowania się przeciwko zdrowemu rozsądkowi.

A nie chcesz wyjechać?

– Czasami chcemy, czasami nie. Na razie jesteśmy tu. Bardziej w wyniku takiego a nie innego zbiegu okoliczności niż świadomych decyzji.

Spotykamy się na planie filmu reklamowego. Czy jesteś człowiekiem zapracowanym?

– Mój system pracy działa na zasadzie „od telefonu do telefonu”, gdy po jednym zleceniu pojawia się kolejne, najczęściej zupełnie inne. I jestem w sumie z tego zadowolony, bo szybko się nudzę. Tak wyszło, że przez ostatnie pół roku pracowałem głównie jako reżyser i animator. Zrobiłem dwa teledyski dla Jamala i Ani Rusowicz, teraz jesteśmy w trakcie przygotowań do jakiejś reklamy, robię animacje do nowego filmu Przemka Wojcieszka. Chwilowo na brak zajęć nie mogę narzekać, chociaż oczywiście różnie z tym bywa. W Akademii Sztuk Pięknych, oprócz tego, że prowadzę zajęcia, pracuję nad animowanym dokumentem opowiadającym o undergroundowej Łodzi z lat 90. Napisałem projekt, a szkoła dostała na niego dofinansowanie. Kształt filmu ciągle się zmienia, ale wszystko pokazywane >



ROZMOWY

będzie przez pryzmat twórczości takich postaci jak Grzegorz Fajngold, Michał Arkusiński i Marcin Pryt.

A nad czym pracujesz jako rysownik komiksów?

– Ciągłe powstają nowe odcinki serii „Plastelina”. Poza tym mam rozgrzebane dwa duże projekty komiksowe. Pierwszy z nich to „Wolfia” – biografia niemieckiej filozofki Hanny Arendt. Scenariusz do tego komiksu napisała Dana Łukasińska. Całość jest zaplanowana na około 200 stron. W szufladzie czekają też szkice do „Westernu” Grzegorza Janusza. Jak tylko znajduję wolny moment, siadam do biurka, otwieram jedną z teczek i pracuję nad kolejnymi planszami. Jednak w odróżnieniu od wspomnianych animacji – w przypadku komiksów nie mam na razie deadline’ów i nie wiem, ile jeszcze potrwa ich rysowanie.

Śledzisz to, co dzieje się w lokalnej kulturze?

– To, że pracuję i tworzę w Łodzi sprawia chyba, że czynnie uczestniczę w życiu kulturalnym naszego miasta. Przy najmniej tak sobie to tłumaczę, bo często po prostu brakuje na różne rzeczy czasu. Ale staram się chodzić na wystawy z naszą córką Kaliną. *

Rocznice i ich okolice

Michał B. Jagiełło



W 2014 r. niczym z roku, przepraszam, z rogu obfitości sygnęły się nam okrągłe rocznice. W głowie może się zakręcić. Mamy więc 220. rocznicę wybuchu Insurekcji Kościuszkowskiej i 70. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Dokładnie 580 lat temu zmarł król Władysław Jagiełło, który nadał Łodzi prawa miejskie. 25 lat temu zebrał się Okrągły Stół. 90 lat temu urodził się Bułat Okudźawa, a 110 lat temu zmarł Antoni Czechow. Przed 90 laty zszedł definitywnie Włodzimierz Lenin. Jego pomniki obalane są do dziś, ostatnio na Ukrainie. Obchodzimy też 65-lecie powstania NATO.

Jest na tej liście również setna rocznica wybuchu I wojny światowej. Jako województwo przygotowujemy się do niej szczególnie, albowiem w 2009 r. wymyśliłmy ogólnopolski szlak Wschodnioeuropejskiego Frontu I Wojny Światowej i chcemy wykorzystać go do promocji Łodzi i regionu na wschodzie i zachodzie. Pomysł jest prosty: walczyli u nas ze sobą zaborcy. Ale ani Niemcy, ani Rosjanie nie mają u siebie śladów zapomnianej wojny – cmentarzy wojennych, okopów, twierdz. A więc prawnikowie poległych, jeśli chcą zobaczyć pola bitewne, muszą przyjechać do nas. W końcu to już nie zaborcy, od dramatycznych wydarzeń upłynęło sto lat, Europa się jednoczy, niech więc przyjeżdżają jako turyści. Jeżdżą do Verdun i do Ypres, pora na naszą część kontynentu.

Obchody planowane są na miarę posiadanych niewielkich środków. O przygotowaniach do nich można by napisać książkę godną jeśli nie „Iliady”, to przynajmniej „Przygód dobrego wojaka Szwejka”. Wspomnę tylko, że jest to przedsięwzięcie nie-

mal na miarę prawdziwej I wojny, w którym uczestniczą (wymienię tylko niektórych „żołnierzy”): harcerze, trzy najważniejsze urzędy w województwie, Archidiecezja Łódzka, Archiwum Państwowe, Uniwersytet Łódzki, Polskie Towarzystwo Historyczne, 11 muzeów z całego regionu, 25 szkół ponadpodstawowych, sympatycy z Belgii, Rosji, Białorusi i Ukrainy, poszukiwacze militariów, miasta partnerskie Łodzi oraz fundacja rosyjsko-polskiego zbliżenia i pojednania. Jeżeli dodamy do tego studentów z Krasnojarska, którzy budują pomnik poległych pod Łodzią w 1914 r., księcia Trubieckoją w Paryżu i księcia Golicyna w Londynie, koordynatorów obchodów stulecia wybuchu I wojny na Zachodzie i w Rosji, obraz będzie w miarę adekwatny do przedsięwzięcia.

Co ważne, w wielu gminach zostaną uporządkowane cmentarze wojenne z 1914 roku. Zrobią to władze gmin, szkoły i społecznicy. Łącznie godny wygląd odzyska 57 cmentarzy.

A jeszcze siedem lat temu prawie nikt nie słyszał o jakiejś tam bitwie pod Łodzią, 200 tysiącach zabitych i zarośniętych cmentarzach, na których wszędzie widać polskie nazwiska. Po raz pierwszy rodacy uczczą pamięć Polaków, którzy zginęli w obcych mundurach, ale nie za cara czy kaisera przecież, ale dla wolnej Polski. Rzecz jasna osobne miejsce zajmą Legiony, które walczyły pod Łodzią, ale jeszcze przed samą „operacją łódzką”.

Przy tylu rocznicach muszę dorzucić jeszcze jakąś mniej ważną, ale osobistą. Otóż równo 50 lat temu ukończyłem szkołę podstawową. Pozdrawiam absolwentów SP nr 132 przy ul. Wierzbowej! *



Sonja Orlewicz-Zakrzewska

Rocznik 1990, studentka PWSFTViT. Dla przyjemności wyjeżdża z Łodzi.
Zdjęcia publikuje na www.lamparting.blogspot.com.



Pięknie i użytecznie

Aleksandra Talaga-Nowacka

Martyna Cierpisz robi znakomite kolaże i animowane filmiki, których bohaterką jest... kura. Walentyna Balcerzak – oryginalne komiksy z elementami tekstylnymi oraz zgrabne rysunki. Obie artystki „Kalejdoskop” uhonorował swą nagrodą w 31. Konkursie im. Władysława Strzemińskiego dla studentów Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi – Sztuki Piękne.

Kolejna edycja konkursu i kolejny przegląd prób, błędów i sukcesów młodych twórców. Wielu z nich ma już własny styl i wie, jaką chce iść drogą. Inni dopiero szukają. Górą znów grafika, kolaż. Malarstwo w Łódzkiej ASP cały czas jest w odwrocie. Na niezłym poziomie są prace audiowizualne. Dzieła studentów najzdolniejszych nietrudno wyłuskać wzrokiem spośród tych mniej ciekawych, bo wyróżniają się pomysłem, formą, tematem, jakością wykonania. Studenci od drugiego do piątego roku pokazali na korytarzach ASP kilkaset prac. Te nagrodzone trafiły na wystawę w Ośrodku Propagandy Sztuki.

Kolaże Martynty Cierpisz z postaciami, budynkami, są świetnie skomponowane, przemyślane w każdym szczególe, opowiadają historię. Rok temu artystka na konkurs wystawiła znakomity filmik animowany z kurą w roli głównej. Teraz także pokazała „kurzą” animację – z elementami z kolaży. I jeszcze zabawny filmik, na którym Dawid Michała Anioła obrasta w gliniany tłuszcz.

Trudno byłoby nie zwrócić uwagi na komiks Walentyny Balcerzak inspirowany po pierwsze średniowieczną tkaniną z Bayeux, po drugie – serialem dokumentalnym „Ballada o lekkim zabarwieniu erotycznym”. Oprócz tego artystka wykonała bardzo dobre szkice przedstawiające ludzi i codzienne sytuacje. Ale godne uwagi są tylko małe

rysunki – tych dużych nie powinna była wystawiać na konkurs.



Praca Jonasza Koperkiewicza

Cierpisz i Balcerzak to oczywiście niejedynie osoby warte wyróżnienia. Bardzo dobre wrażenie zrobiły na mnie propozycje m.in. Jonasza Koperkiewicza, Karoliny Zaborskiej czy Pauliny Sadrak. Koperkiewicz jest autorem rysunków i grafik, których bohaterami są zwierzęta – świetna



Fotokolaż Karoliny Zaborskiej

kreska, dobre ujęcie istoty rzeczy. Zaborska wykonała znakomity fotokolażowy tryptyk pt. „Metropolis”. Miasto jest tu niemal biologicznym tworem, dobrze funkcjonującym, ale odhumanizowanym. Sadrak robi kolaże nawiązujące do bajek Ezopa.

Oskar Gorzkiewicz już rok temu zaprezentował się jako perfekcyjny grafik. Jego widoki zwartej miejskiej zabudowy zrobiły wrażenie. Teraz pokazuje równie udane prace, z tym, że... takie same. Dobrym pomysłem jest instalacja „Studium z natury – woda” Ingi Januszek: „fragment” muru z kranem – „wypływająca” woda to podświetlony biały słupek, jak sople lodu. Ładne to, bajkowe – tylko po co z przodu ta paskudna głowa?

Damian Idzikowski (jeden z niewielu utalentowanych malarzy wśród studentów) wykonał cykl olejnych portretów o ciekawej formie. Dobrze prezentuje się podświetlony rzeźbiarski obiekt Agaty Kryś: dwie abstrakcyjne formy z pleksi. Magdalena Lamch w otwórki w murze ogrodu zoologicznego w Düsseldorfie powcisnęła ludziki z plasteliny. Zabawne.

Agata Wieczorek tworzy coś w rodzaju scenografii, np. „makiety” łódzkiego podwórka, buduje alternatywny, tajemniczy świat. Weronika Krupa z poszukiwań własnej drogi robi temat swojej sztuki, przy okazji wyrażając bezradność wielu innych artystów – jej płótna pokrywają napisy: „Nie mam pomysłu na obraz i siebie” albo „Mogę wszystko nie mogę się zdecydować”.

Klimatyczna instalacja audiowizualna Sebastiana Grochockiego to abstrakcyjny, czarny rysunek po-

kazywany jako wideo z przymocowanymi po dwóch stronach do ekranu wizerunkami postaci. Do tego wprowadzająca w trans muzyka. Subtelnością uderzają grafiki Anny Roman przedstawiające widoki oglądane podczas podróży z Katowic do Łodzi.

Prace studentów biorące udział w drugim uczelnianym konkursie, tym razem poświęconym designowi, **24. Konkursie im. Władysława Strzemińskiego – Projekt**, można oglądać w holu Centrum Promocji Mody przy ASP. Jak zawsze większość jest bardzo ciekawa, zgodna z najnowszymi trendami. Warto zwrócić uwagę m.in. na grafikę wydawniczą z pracowni prof. Sławomira Kosmynki (Kaja Kaja, Marta Olczak), plakaty z pracowni prof. Sławomira Iwańskiego (Paulina Tkacz, Olga Zielińska, Dominik Koślin, Sebastian Grochocki), na prace powstające pod okiem prof. Piotra Karczewskiego (Dominik Koślin, Paulina Tkacz), biżuterię (Magdalena Lamch, Maria Antonina Łęcicka) i projekty wyposażenia wnętrz (np. zespół Tro Design – otwarta przestrzeń szkolnej klasy z podziałem na strefy nauki czy relaksu).

Główne nagrody dostali: Piotr Siudaja, Małgorzata Wojciechowska, Paweł Krzyszkowski („Sztuki Piękne”) oraz Tro Design, Kaja Kaja i Magdalena Lamch („Projekt”). *

31. Konkurs im. Strzemińskiego – Sztuki Piękne.

Wystawa w OPS (park Sienkiewicza), do 6 IV

24. Konkurs im. Strzemińskiego – Projekt. Wystawa w CPM ASP (ul. Wojska Polskiego 121), do 5 V

Trudno jest uciec od wspomnień



Bogusław Sikorski*

To już 40 lat. Wyrosły dwa pokolenia Polaków, a „Kalejdoskop” ciągle jest na rynku prasowym. Jak stare kadry filmu przesuują się wspomnienia tych dni, kiedy na początku lat 70. ub.w. prowadziliśmy dyskusje, jaki ma być ten „Kalejdoskop”. Wydawcą była Krajowa Agencja Wydawnicza (koncern RSW Prasa-Książka-Ruch). Naczelny redaktor KAW w Łodzi Wojciech Ekiert zaproponował mi kierowanie Informatorem Kulturalnym. Opracowanie graficzne powierzone zostało artyście grafikowi Ryszardowi Kubie Grzybowskiemu. Byłem po debiucie książkowym, należałem do koła młodych Związku Literatów Polskich, współpracowałem z „Dziennikiem Łódzkim”, ale kierowanie redakcją to było coś zupełnie nowego. Gdyby nie Kuba Grzybowski, nie poradziłbym sobie. Kuba stworzył makietę, format, kolorystykę okładki, krój czcionek. Zaproponował, aby każdy numer rozpoczynać wywiadem z przedstawicielem środowiska artystycznego. I zaczęła się praca merytoryczna nad doбором tekstów, wywiadów, recenzji, komentarzy itp.

Z makietą związana jest anegdota. Makieta została zaprezentowana pewnemu przedstawicielowi Instancji – partii rządzącej. W większym gronie oglądamy kartka po kartce kształt przyszłego „Kalejdoskopu”. Przedstawiciel Instancji mówi: „Makieta jest niezła, tylko momentami nieco zagmatwana. Trzeba tak poprawić, aby zrozumiał ją każdy człowiek, taki z ulicy przeciętniak”. Kuba spokojnie odpowiedział: „A które miejsca są dla pana niezrozumiałe”. Ta odpowiedź stała się porzekadłem w redakcji.

W Łodzi w tym czasie działo się wiele w środowisku artystycznym i było o czym pisać. Mocną pozy-

cję zaznaczały Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna oraz Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych. W Łodzi realizowali filmy wybitni polscy reżyserzy, w tych filmach grali aktorzy z najwyższej półki.

„Kalejdoskop” składał się z dwóch segmentów: informacyjnego i publicystycznego. Znakomitą robotę redaktorską wykonywały Maria Sondej i Bożenna Cyperling. Polityka nie wkraczała na nasze szpalty.

Z kolejnymi miesiącami ukazywania się „Kalejdoskopu” odnotowanie komentarzem jakiegoś wydawnictwa stawało się wyróżnieniem. Zabiegali o to organizatorzy imprez. „Kalejdoskop” mógł poszczycić się świetnie prezentowanymi zdjęciami. Dbał o ten profesjonalizm Zbyszek Nowak. Aparat fotograficzny w tamtym okresie był jego piórem.

W czasie, kiedy kierowałem „Kalejdoskopem”, zmieniano kilka razy siedzibę redakcji, ale najwspanialsze warunki mieliśmy w Łódzkim Domu Kultury.

Po mnie funkcję redaktora naczelnego „Kalejdoskopu” powierzono Jerzemu Katarasińskiemu, ceniönemu dziennikarzowi „Dziennika Łódzkiego”.

Słowa są dobre, ale nie najlepsze, abym umiał wyrazić uznanie dla wszystkich osób, które przez lata wykształciły dojrzały obecnie w formie i treści „Kalejdoskop”. A mnie wierzyć się nie chce, że minęło już 40 lat. Podszedłem do lustra, aby spojrzeć na swoją twarz. *

*pierwszy szef „Kalejdoskopu” – przygotował numery od 5/1974 do 2/1975

Odpowiadam sam sobie

„Kalejdoskop” obchodzi 40-lecie. W każdym numerze publikujemy wspomnieniowy tekst jednego z byłych redaktorów naczelnych (czytaj obok), ale też wybrany ciekawy artykuł, jaki wydrukowano w „Kalejdoskopie” w czasie jego kadencji.

Poniżej obszernie fragmenty wywiadu Bogusława Sikorskiego z reżyserem LESZKIEM SKRZYDŁO, znanym głównie z telewizyjnych cykli „Pałace Ziemi Obiecanej” i „Rody fabrykanckie” (zmarł w 2011 roku). Rozmowa ukazała się w numerze 2/1975.

Byłeś współzałożycielem, reżyserem, aktorem, autorem tekstów w Studenckim Teatrze Satyry „Pstrąg”. Ten okres „Pstrąga” zostawił na trwałe określony element twórczy w twojej osobowości. Obecny twój cykl filmowy pt. „Biblia” jest przemysłowym tematem, który nosiłeś w sobie od wielu lat.

– Zgadłeś i wiem dlaczego, bo razem byliśmy w „Pstrągu”. Ale ten temat rzeczywiście od wielu lat mnie nurtował. Chodziło mi o ukazanie istoty „Biblii”, jej genezy i interpretacji w świetle najnowszych badań naukowych. (...)

Otrzymałeś również w minionym roku specjalną nagrodę „Trybuny Ludu” za podejmowanie w swoich filmach tematyki społeczno-politycznej. Reżyserowane przez ciebie filmy (...) ukazują nam współczesną historię, a jednocześnie poruszają problemy i codzienne sprawy naszych dni. Cechuje cię ciągle niepokój twórczy, szukanie nowych środków wyrazu i nowych ambitnych tematów. Starasz się odpowiadać swoim widzom na nurtujące ich pytania...

– Pytania i tematy czerpię z otaczających mnie problemów, na które i sam sobie chcę udzielić odpowiedzi. Po prostu dociekam, analizuję hipotezy,

staram się na bieżąco śledzić (...) postęp badań naukowych. Jeśli udaje mi się nakręcić wyważony i przemyślany film, który tak oceniają krytycy i widzowie, to daje mi pełne zadowolenie. (...)

Jesteś również twórcą, który podejmuje tematykę łódzką. Świadczą o tym takie filmy, jak „Pałace Ziemi Obiecanej” (...).

– Tematyka łódzka, secesja Łodzi i jej współczesność interesują mnie od dawna. W filmie „Pałace Ziemi Obiecanej” zrealizowałem swój zamysł, ukazując architekturę łódzkich pałacików, ich historię. Do tematyki łódzkiej chcę jeszcze powrócić. Mam określone pomysły i tematy, ale na razie nie chcę ich zdradzać.

Chcesz również nakręcić film o Krzysztofie Kamiliu Baczyskim...

– Chciałbym pokazać poetę, jego treść życia, którą cechowała miłość i szacunek do człowieka. Dał on przejmujący wyraz tragedii okupacyjnej swego pokolenia.

Należy ci życzyć, żebyś jak najszybciej zrealizował swoje ambitne plany twórcze.

– (...) Śni mi się jeszcze jeden pomysł, który związany jest z „Pstrągiem”. Niedługo będziemy obchodzili XX-lecie jego istnienia. Warto byłoby to uczcić ponownym wystawieniem jednej z naszych pierwszych premier, choćby „Kraju na Ziemi” czy „Jestem Czajnik”, ale w obsadzie tej sprzed dwudziestu lat. (...) Byli wykonawcy, co prawda dziś dyrektorzy, redaktorzy, a nawet ministrowie, przypomnieliby sobie studenckie lata i jeszcze raz przeżyliby swój debiut na scenie. (...)

Pomysł jest świetny. Szanowni koledzy z STS „Pstrąg”, może spróbujemy.

Gatunki zagrożone wyginięciem

Piotr Grobliński

Do 4 IV trwa jubileuszowa, dwudziesta edycja Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych. Za sobą mamy pierwszy, bardzo obiecujący weekend festiwalowy.

Moje oczekiwania wobec „**Nietoperza**” przywiezionego do Łodzi przez TR Warszawa były duże, podbite jeszcze lekturą znakomitych recenzji. Węgierski reżyser Kornél Mundruczó to autor znanych filmów, ceniony także jako twórca teatralny, w obsadzie znane nazwiska. Być może za wiele sobie obiecywałem, ale sobotni wieczór przyniósł mi rozczarowanie. Im jednak więcej dni mija od przedstawienia, tym „Nietoperz” bardziej mi się podoba.

Akcja rozpoczyna się w sylwestrową noc w warszawskiej klinice eutanazyjnej. Emerytowany dyrygent (Sebastian Pawlak) przybywa do niej z żoną (Agnieszka Podsiadlik) i córką (Roma Gąsiorowska). Czego posłuchamy w ostatni wieczór roku (życia)? Dyrygent uznaje „Zemstę nietoperza” za najlepszy utwór na tę okazję. Czyżby operetkowa wesołość była najlepszą pointą współczesnego życia? Miłe melodie i głupawe teksty na tle szpitalnych parawanów. *Ja się śmieję cha cha cha, oszaleję cha cha cha* wypiewuje ponurym głosem szpitalna asystentka Marta (Małgorzata Buczkowska). Operetkowa groza, groteskowa opresja.

Jesteśmy w eutanazyjnej klinice prowadzonej przez Ryszarda (Adam Woronowicz), ale jesteśmy też w teatrze – Woronowicz co jakiś czas wychodzi z roli medycznego Einsteina/Eichmana, by wejść w rolę narratorsko-konferansjera, który bawi publicz-

ność opowieściami o musztardzie, która ma wystarczyć na 150 spektakli. Problem w tym, że im lepiej się bawimy, tym bardziej jesteśmy współodpowiedzialni za to, co dzieje się na scenie. Na przykład za pseudobadania mające uprawomocnić procedurę eutanazji (im więcej klientów, tym większe zyski). *Z 400 osób obecnych przy badaniu nikt nie wyraził sprzeciwu* – odpowie asystentce dyrektor kliniki. Z tabletek, które są nam rozdawane na początku spektaklu, Marta robi śmiertelną dawkę trucizny dla drugiego z pacjentów, cierpiącego na porażenie mózgowie Łukasza (niezwykła rola Dawida Ogrodnika). Robienie z nas współników w niemoralnym procederze znajduje kulminację w finałowej scenie, kiedy Łukasz chce posłuchać włoskiego przeboju o miłości. Kiczowatemu „Te Amo” towarzyszyło podczas festiwalowej prezentacji rytmiczne klaszkanie. Niestety, niby-wyrobita publiczność zachowała się w czasie dramatycznej sceny jakby była w jakimś opolskim amfiteatrze.

Spektakl dostarcza kilku argumentów w dyskusji o eutanazji (więcej przeciw niż za). Decydującym jest miłość, która zwycięża nie tylko śmierć, ale i brak sensu życia. Naiwne? Niekoniecznie, ale na wszelki wypadek wzięte w nawias włoskiego przeboju.

Realizatorzy dostarczyli wielu argumentów za (piękna scena z balonikami wypuszczanymi z sza-

fek i skrzyń, doskonale wyczuć zmianę tempa teatralnej narracji, scenografia), ale też kilku przeciw swojemu przedstawieniu. Po pierwsze: tekst był słabo słyszalny. Jedynie Adam Woronowicz i Justyna Wasilewska mówili tak, że do widza docierały wszystkie sensy. Kwesii pozostałych postaci trzeba było się domyślać. Po drugie: występ Romy Gąsiorowskiej w zaawansowanej ciąży zmieniał sens wielu scen. Czy reżyser wziął to pod uwagę? Po trzecie: cały ten nowy teatr trochę za bardzo do siebie podobny. Choćby prze-



„Uwolnić karpia”

Foto: KASIA CHMURA

rywnikami muzyczne z przesterowaną gitarą, syntezatorem i niecodziennym wokalem skojarzyły mi się od razu z „Apollonią” Warlikowskiego.

Po nietoperzu przyszedł czas na karpia. Na premierę „Uwolnić karpia” Piotra Bulaka w reżyserii Krystyny Meissner, sztuki, która zwyciężyła w III edycji *Komediopisania*. Chyba nie tylko zoologiczny klucz kazał umieścić oba przedstawienia koło siebie w festiwalowym terminarzu („Buda dla psa” została ustawiona gdzie indziej) – podobieństw jest więcej. Oba spektakle mówią o śmierci schorowanych ludzi, którą niektórzy chcą przyspieszyć. Oba zbudowane są na kontraście dwóch sytuacji z motywem umierania, w obu powaga miesza się z groteską. W obu pointa brzmi podobnie: miłość zwycięża śmierć i jest najważniejsza w życiu, w obu w decydujących momentach śpiewa się o miłości w obcych językach. Przez moment myślałem, że sponsorem festiwalu jest znana sieć kwaciarni i zakładów pogrzebowych, ale chyba teatr wyczuwa aktualnie ważny temat.

A sam tekst? Trochę przypomina sztuki Mrożka, tyle że w gorszym wydaniu. Jakby ktoś z „Tanga” wyprzeżył wążka leżącej na katafalku babci i obudował mniej lub bardziej śmiesznymi dowcipami. W „Karpniu” na łożu śmierci leży Dziadek, któ-

ry obiecał umrzeć, a nie umiera. Rodzina z jakichś powodów chce mieć to już za sobą, więc na dziesięć sposobów perswaduje staruszkowi, że tak będzie lepiej dla wszystkich. Kolejne epizody poprzedzane są chodzeniem po scenie w różnych kierunkach (chwyt teatru alternatywnego trafiają już do komedii). Momentami bywa śmiesznie, na przykład gdy synowa zachęca do szybszego umierania obietnicą włożenia do trumny białej bielizny na zmianę. Albo gdy ustalają z Dziadkiem skład pogrzebowej orkiestry i niebacznie obiecują mu różek nie tylko angielski, ale i włoski, francuski, niemiecki... Jaki chce.

W końcu starszy pan umiera i od razu rodzi się problem. Z zabiciem świątecznego karpia. W II akcie znów mamy serię epizodów – tym razem wywoływanych okrzykami: *...sposób szósty na zabicie karpia, sposób siódmy na zabicie karpia...* Przy czym nie wiedzieć czemu aktorzy wypowiadają kwestię *na zabicie karpia* z intonacją pytającą. Tu już dowcipnych dialogów trochę mniej, więcej za to dzieje się na scenie. Początek tej części to chyba najlepsza scena – choreograficzny popis całego zespołu aktorskiego w kołyszącym rytmie reggae. Na koniec duch dziadka powraca jako posłaniec pointy: trzeba się śmiać, bo mogło być gorzej, trzeba kultywować miłość, a nie tradycję. Trochę łopatologicznie podane, ale dzięki aktorom całkiem strawne.

Demokracja – kopulacja

Michał Lachman

Gdzieś między tymi skrajnościami zamyka się opowieść o każdej rewolucji. Albo tak wydaje się tym, którzy w niej uczestniczą. Takie przynajmniej można odnieść wrażenie, oglądając spektakl „Marate/Sade” Petera Weissa wyreżyserowany przez Rudolfa Ziolo jako przedstawienie dyplomowe studentów czwartego roku Wydziału Aktorskiego Łódzkiej PWSFTViT. Na scenie Teatru Studyjnego spektakl ten kończy się właśnie dzikim skandowaniem tych jakże wymownych haseł: „demokracja kopulacja”. Następnie wszystkie postaci rzucają się na siebie, zaczynają całować, rozbierać, kłaść na sobie w różnych konfiguracjach. Czyli ostatecznie nie demokracja, a kopulacja. Nie mam nic przeciwko samej kopulacji, ale akurat wobec złożonej, subtelnej, jakże przewrotnej i niejednoznacznej sztuki Weissa, ta scena jako konkluzja trochę razi. Weiss kreśli obraz domu wariatów w Charenton, w którym przebywał znany osiemnastowieczny libertyn, literat i filozof markiz de Sade. Tam wraz z innymi osadzonymi wystawił spektakl o śmierci francuskiego rewolucjonisty Marata. Oglądamy więc sztukę w sztuce, w której zderzają się różne koncepcje i definicje rewolucji oraz sposobów jej realizacji. Dyskutuje się tu o tym, jak usprawiedliwić zbrodnie rewolucyjnej gilotyny i jakiego człowieka, a także obywatela taka społeczna zmiana wyda na świat. Dramat, napisany w połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, wzbudził sensację połączeniem filozoficznych debat z surrealistyczną i absurdalną fabułą i formą. Po tym jak film

na jego podstawie nakręcił Peter Brook, utwór stał się klasykiem. Tak więc kopulacja owszem, ale jeszcze parę rzeczy więcej. Na szczęście tylko w końcówce spektaklu łódzcy studenci pozwolili sobie na taką dookreślającą jednoznaczność. Reszta przedstawienia wypada ciekawie, a debatom politycznym i filozoficznym dociekaniom towarzyszy sporo pomysłowych rozwiązań scenicznych, które może nie zawsze podrywają całość do lotu, ale przynajmniej niektórym scenom dodają skrzydeł.

Jest kilka podstawowych opozycji, na których zaszta się cały tekst Weissa. Spór ideologiczny między Maratem (Ptryk Palusiński) – zwolennikiem radykalnej rewolucji, eliminacji ludzi w imię realizacji celów – a de Sade’em (Paweł Dobek), intelektualistą, sceptykiem i człowiekiem wyobraźni, który w jej przemianie znajduje zacyzn i cel rewolucji. Dalej Karolina Corday (Dominika Lichy), zabójczyni Marata; podobnie jak on wierzy w wolność, którą ma przynieść zburzenie starego ładu, ale nie popiera politycznych mordów i niekontrolowanej przemocy. Obawia się dyktatury i zabija Marata, który nie zatrzyma się przed niczym, by zgładzić przeciwników. Ich intelektualnym sporom przysłuchują się inni pacjenci, dyrektor szpitala (Bartosz Szpak) oraz widzowie, którzy wpisani są w fabułę, jako osoby odwiedzające klinikę Charenton. Udaje się w tym spektaklu stworzyć obraz szaleństwa, ludzkich fobii i niekontrolowanych emocji, które towarzyszą ważnym debatom między głównymi postaciami. Dobrze wypadają pacjenci, którzy są jedno-



czesnie członkami chóru (Anna Fatyga, Zuzanna Zazulin, Rafał Łysak, Mateusz Mosiewicz) i w formie krótkich piosenek komentują polityczne teorie markiza Sade'a i Marata. Dotknięta szaleństwem pacjentka zakładu (Aleksandra Przybył) również dostarcza nieco komicznej przeciwwagi dla podniosłości rewolucyjnych przemian, grając osobę zagubioną we własnym szczęśliwym i nieświadomym zagrożeniu szaleństwie. Całością dyryguje Wywoławca (Michał Barczak) – postać ciekawie wymyślona – nieco przewrotnie komentując akcję, oddaje on przewrotność historii, która z perspektywy czasu na tragizm zdarzeń spogląda z przymrużeniem oka, jak na zabawę głupców.

W tym dość precyzyjnie zaaranżowanym układzie emocji i nastrojów paradoksalnie najbardziej blado wypadają dwie główne postaci, czyli sam Marat i de Sade. Marat, w większości przykuty do wanny, w której zostanie zamordowany, wygłasza kilka monologów, ale całość zdaje się nieco statyczna i nadmiernie spokojna. Trudno uwierzyć, że płonie w nim ogień radykalnej rewolucji. Podobny problem ze zrozumieniem reżyserskich intencji w prowadzeniu postaci miałem w przypadku postaci de Sade'a. Ten mistrz perwersji, przewrotności i inteligencji wydawał mi się w spektaklu nadmiernie zawstydzony, wycofany, jakby nieśmiały, przepelniony uduchowieniem, zamiast epatować cielesnością i żądzą. Złożoną postacią jest u Weissa Karolina

Corday. Sporo z tego udało się oddać Dominice Lichy. Przekonały mnie jej trudne monologi przechodzące od stanu przerażenia rewolucyjnym terrorem do rozpoznania faktu, iż powinna dopuścić się morderstwa na Maracie.

W całości spektakl faluje: są momenty, kiedy ze sceny pada po prostu dobrze powiedziany tekst, ale są i chwile, gdzie dochodzi do jakiegoś sprzężenia całego zespołu, a więc głównych postaci z chórem śpiewaków i innymi pacjentami. Nawet pozostając w tle i nie mając akurat w danym momencie roli do mówienia, każdy gra jakiś znaczący drobiazg, który buduje ogólną dynamikę. W takich właśnie chwilach całość nabiera dość silnego wyrazu. Nie jest to może jeszcze zwalające z nóg przeżycie, ale czuje się przepływającą między aktorami energię, synchronizację, wycucie własnej mocy. Chyba w tych momentach wszyscy dochodzą do wniosku, że chodzi o coś więcej niż kopulację. Choć oczywiście nie mam nic przeciwko...

Tekst ukazał się również na blogu „Łódź w Kulturze”.

„Marat/Sade” – Teatr Studyjny w Łodzi (koprodukcja z Teatrem im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu). Premiera – 28 II. Reżyseria – Rudolf Ziolo, muzyka – Anna Stela, scenografia – Dominika Błaszczyk, ruch sceniczny – Paweł Sakowicz, pianista – Adam Kupaj.

Edukacja Rity

Piotr Grobliński

Marek Kasprzyk wystawił na Scenie Arterion komedię Willy'ego Russella „Edukacja Rity”. To jedna z wielu sztuk wykorzystujących motyw „stary profesor i uczennica” („Pigmalion”, „My Fair Lady”, „Lekcja”, może też „Szkola żon”). Nauczanie z erotyką w tle, patriarchalny schemat zdefiniowanych od początku ról?

A przecież tyle mamy dziś w życiu publicznym mędrców (mędrzyc?) płci żeńskiej, które mogłyby być pierwowzorem dla odwrócenia opisanej relacji. Choćby Magdalena Środa, Kazimiera Szczuka, Jadwiga Staniszkis, Joanna Szczepkowska, Monika Strzępka. Celowo ograniczam się do litery S, bo to także inicjał największej nauczycielki życia. Dodane przez reżysera zakończenie ten fakt uwzględnia.

Sztuka opowiada o spotkaniach młodej fryzjerki, pochodzącej z robotniczego środowiska Rity (Ewelina Kudeń-Nowosielska), z podstarzałym i mocno przepitym profesorem literatury angielskiej Frankiem Bryantem (Andrzej Wichrowski). Korepetycje udzielane Ricie w ramach uniwersytetu otwartego z czasem przeradzają się w przyjaźń podszytą wzajemną fascynacją. Profesor tłumaczy dziewczynie, czym jest asonans, na czym polega tragedia i jak odróżnić rzeczy literacko ważne od nieistotnych. Uczennica otwiera oczy profesora na inny świat... marnych szkół, robotniczych dzielnic, tanych zakładów fryzjerskich, ale też świat ambitnych młodych ludzi, którzy zamiast roztkliwiać się nad sobą i delektować przegranym życiem, wierzą jeszcze w naukę, sztukę, odkrywanie prawdy. Seria jedenastu epizodów ukazuje kolejne fazy tej edukacyjnej wymiany. Zderzenie dwóch światów daje niejednokrotnie efekt komiczny.

Kolejne fazy procesu, kolejne sceny oddzielone wyciemienniami. Mija tydzień albo dwa – ona zmie-

nia bluzę lub sweterek, on zawsze w tej samej wytartej marynarce i przybrudzonych spodniach. Wśród papierów na biurku coraz więcej kartek z jej wypracowaniami, na zapleczu coraz więcej opróżnionych przez niego butelek. Głównym zadaniem aktorów jest w tej sztuce pokazanie zachodzącej stopniowo zmiany. Rita ma się powoli pozbywać wulgarnego języka i spontanicznych wybuchów śmiechu, Frank ma przechodzić od niechęci do fascynacji, a nawet zazdrości. I trzeba przyznać, że grającym w przedstawieniu aktorom nieźle to wychodzi. Andrzej Wichrowski pokazał rozwój granego przez siebie bohatera subtelnymi środkami. Na kolejnych spotkaniach jest coraz bardziej ożywiony, żartobliwy. Początkowo niechętny wobec nowej uczennicy, z czasem śmieje się z zabawnych sytuacji i nieporozumień. Ale gdy Rita wyjeżdża na wakacyjny kurs, gdy poznaje nowych przyjaciół, zaczyna żyć własnym życiem – staje się zazdrosny. Najlepszy aktorsko moment to rozmowa telefoniczna z przyjaciółką Rity, w której Frank jest zdumiewająco bezradny, speszony i przepaszający. Widać w tym świadomość porażki, własnej śmieszności. Chwilę później wchodzi Rita w białej sukni ślubnej. Minusem wydaje się pomysł, by aktor ciągle coś pisał (trochę wbrew tekstowi, w którym mówi, że zerwał z pisaniem).

Ewelina Kudeń-Nowosielska stworzyła swą Ritę z kilku gestów, zachowań, sposobu mówienia. W charakterystyczny sposób obciąża sweter, drapie się po udach, podciąga pod brodę kolana. Gdy czegoś szuka, wyrzuca całą zawartość torby na podłogę. Jest żywiołowa, energetyczna, mówi, co myśli. Z czasem ta spontaniczność zmienia się w kulturalne dobre maniery, przy czym zmiana następuje trochę zbyt skokowo. Widać to dobrze po prze-

kleństwach – na pierwszym spotkaniu Rita klnie jak szwec, potem nagle przestaje (tylko raz wymuskuje jej się wulgarnie słowo) – w tym akurat elemencie nie widać trwającego procesu zmiany. Świetnie natomiast zmienia się jej sposób deklamowania literatury – od naiwnego patosu do inteligentnego zrozumienia (gdy recytuje wiersz Blake’a).

niej scenie. Tu nie trzeba być doświadczonym melomanem, by odebrać sygnał reżysera. Requiem razem z klepsydrami podarowanymi Frankowi przez Ritę i z obrazem Malczewskiego (u angielskiego literaturoznawcy lepszy byłby któryś z prerafaelitów) na ścianie przygotowują ostatnią scenę, w której dziewczyna przychodzi do (po) profesora jako śmierć. To



Foto: Z ARCHIWUM TEATRU ARTERION

Solidna gra aktorów i nadane spektaklowi żywe tempo sprawiają, że rzecz dobrze się ogląda. Mimo że pewne szczegóły rażą niedopracowaniem. Na przykład dzwonek telefonu Franka – znany utwór Mozarta rozbrzmiewa z głośników, ilekroć dzwoni komórka. Gdy Frank odbiera, muzyka jest zatrzymywana. Zrobione to jest po amatorsku, zawsze z minimalnym opóźnieniem, a przecież wystarczyło wgrać taki dzwonek do telefonu i normalnie odbierać. Albo chociaż ściągnąć z Internetu filtr dźwiękowy, by puszczana muzyka brzmiała jak z telefonu. Ale to w sumie drobiazgi...

Mozart w telefonie to zapowiedź Mozarta w ostat-

bardzo ciekawe rozwiązanie, zmieniające zakończenie sztuki. W oryginale Rita proponuje Frankowi, że obetnie mu włosy, co nie musi być wcale zakończeniem banalnym (analogia do Samsona). Rita jako śmierć przypomina, że nie jesteśmy wieczni, że flirt z kolejnymi pokoleniami studentek nie będzie odmładzał nas w nieskończoność, że istotne pytania trzeba zadawać także sobie samemu (a nie tylko jako tematy zaliczeniowych prac).

„Edukacja Rity”, Scena Arterion. Premiera 21 lutego 2014 r.

Jazz i pasta do zębów

Magdalena Sasin

Gdy w 1949 roku powstawał jazzowy zespół Melomani, jego członkowie szukali dla siebie pseudonimów. Wybrali... nazwy ówczesnych środków czyszczących. W ten sposób Andrzej Wojciechowski został Idonem, Witold Sobociński – Dentoxem. Tę i sporo innych anegdot zgromadził w swojej książce „To był jazz” – Andrzej Wojciechowski. Na jej podstawie napisał scenariusz przedstawienia, którego premiera odbyła się 17 marca w Teatrze Muzycznym pod szyldem Adi Jazz Festiwalu.



Foto: Z ARCHIWUM TEATRU MUZYCZNEGO

Sztuka przenosi widzów w lata powojenne, kiedy jazz dopiero zdobywał w Polsce popularność. Choć ówczesna władza tępiła tę dziwną muzykę, która nie przestrzegała żadnych zasad i szerzyła zarazę zgnitego imperializmu, jazz szturmem zdobywał nowych wyznawców. Ci, którzy słuchali tej muzyki i ci, którzy ją tworzyli, byli młodzi, beztroscy i pełni szalonych pomysłów. Upijali się na plaży, podróżowali bez bagażu i krytykowali bez zastanowienia. Jak wszystkie młode pokolenia wcześniej i później, wierzyli, że do nich należy świat. Z tym światem to

może przesada, ale jazz naprawdę do nich należał i historia dziś im to przyznaje. Dzięki Melomanom Łódź stała się kolebką polskiego jazzu.

Monodram „Cztery sety jazzu” pokazuje tamte wydarzenia oczami ówczesnych jazzmanów: „Idona”, „Dentoxa”, „Dudusia” (Jerzego Matuszkiewicza), Andrzeja Trzaskowskiego, Witolda Kujawskiego – czyli członków zespołu Melomani. Odbrażawia postaci dla dzisiejszej młodzieży pomnikowe: Romana Polańskiego, Wisławę Szymborską, Krzysztofa Komedę i parę innych. Wielu wykonawców i słuchaczy muzyki synkopowanej było związanych z łódzką „filmówką”, więc o początkach tej szkoły też można się nieco dowiedzieć. Jak wehikuł czasu działa muzyka (m.in. utwory z repertuaru Melomanów i standardy, w tym kołysanka z „Dziecka Rosemary” Komedy), grana na żywo przez saksofonistę Michała Kobojka (dwukrotny laureat nagrody Prezydenta Miasta Łodzi dla Najlepszego Łódzkiego Jazzmana) oraz kontrabasistę Bartłomieja Stępnia i gitarzystę Marka Piaseckiego.

Określenie „monodram” to nazwa trochę na wyrost. Jest to raczej zbiór anegdot, przeplatanych wstawkami muzycznymi. Nie ujmuje to jednak ani spektaklowi wartości, ani aktorowi – zasługi. Niełatwe jest bowiem odgrywanie luźno powiązanych ze sobą scenek w taki sposób, by stworzyć spójną całość. Michał Kruk, aktor warszawskiego teatru Komedia i łódzkiego Nowego, oraz reżyser Marek Kasprzyk przyzwolicie zmierzli się z tym zadaniem. Nie poszli w kierunku przerysowanego komizmu, co wywołałoby nastrój kabaretowy. A tutaj nie tylko o śmiech chodzi – tu chodzi przede wszystkim o jazz.

„Cztery sety jazzu”, Teatr Muzyczny.
Premiera 17 marca 2014 r.

Obraz przeciw słowu

Maciej Cholewiński



Nie poszedłem na spotkanie organizowane przez Galerię Manhattan „w ramach cyklu pt. *Strefa współczesnego dyskursu* – (...) spotkanie z Anną Nacher, autorką książki *Rubieże kultury popularnej. Popkultura w świecie przepływów*. Książka poświęcona jest pytaniu, co się stało dzisiaj z kontrkulturą? (...) Kolejne rozdziały dotyczą m.in.: (...) śladów kolonializmu w muzyce świata (...) cyberaktywizmu i mediów taktycznych, kultury słów, enteogenów, psychodelików i neoszamanizmu, partyzantki ogrodniczej, ogrodów mobilnych i nowej miejskiej ekologii, hipsterów”. Może dlatego, że naprawdę próbowałem przeczytać jej „Codzienną odrobinę subwersji, czyli telewizyjne gry z płcią” lub „Poza cyfrowość w zwrocie cyfrowym – od humanistyki cyfrowej do spekulatywnej komputacji” albo lepiej – „Folksonomia jako performatywna partyzantka semiotyczna”, w związku z czym nasyciłem się do prawie mdłości „subwersją” i „dyskursem”. Nie miałem już siły na „enteogeny”, „cyberaktywizmy”, ani nawet na „neoszamanizm”.

Jednak ciężko porozumieć się z naukowcami, którzy najwyraźniej pozazdrościli słowotwórstwa futurystom. Piszą więc i zapełniają każdy numer „Obiegu” albo innego „Notesu” kolejnymi naukowymi wersjami „Noża w bzuhu”. Wymyślają coraz bardziej skomplikowane zjawiska, coraz dziwniejsze słowa, pączkujące i mnożące się jak króliki, na – jak to się określa – „polach sztuki”. Pożytek z ich uprawy (dla mnie) jest taki, że wiem, co mi się podoba (np. najnowsze obrazy Damiana Idzikowskiego), a co mnie straszliwie męczy (np. subwersywny dyskurs).

Wspomniany Damian „Idzik” Idzikowski jest studentem naszej ASP. Pracował przy muralach „Dzieci Łodzi”. W Galerii Nowej w ŁDK w marcu ub.r. pokazywał interesujące grafiki na wystawie *Grafika z pracowni technik łączonych ASP w Łodzi* prowadzonej przez prof. Sławomira Ćwieka. I doczekał się indywidualnej wystawy w Galerii Adi Art.

Stworzył cykl „ilustracji”, obrazów olejnych na desce, w których opowiedział o swojej młodości. Tak właśnie twierdząc – o młodości. „Ilustracjami” są portrety przyjaciół, niektórych – dziwnym zbiegiem okoliczności – widuję tu i tam w mieście. Tacy właśnie są, tak żyją, po latach będzie się mogło powiedzieć – tak wyglądali w 2013 albo 2014 roku... Kumple ze studiów, koleżanki – może miłości, wszyscy tu mają coś swojego: uśmiech, gest, grymas, śmieszność, powab. Kumple są fajni, palą, kawę piją, malują, a dziewczyny są piękne, choć trochę nieśmiałe przez nagość, niektóre wcale nie. Młoda łódzka bohema. Kolejni artyści, którzy kiedyś będą wielcy, średni albo przepadną zupełnie. Tła obrazów są białe, zabrudzone, naraz zaczyna się szkic, który zaczynają wypełniać kolory, a z nich wyłania się człowiek. Jak żywy, chciałoby się dodać.

A wracając do Anny Nacher, która muzykuje, śpiewa, wyklada na Uniwersytecie Jagiellońskim, podróżuje, założyła (z Markiem Styczyńskim) magiczne Karpaty Magiczne... W utworze „Tensegretty” (zaśpiewała z grupą Atman) usłyszałem od niej: „Czasem chcę wymyślić inny język / ten który znam, niewiele tłumaczy...”. Teraz rozumiem i przepraszam za żarty, ale proszę mi wierzyć – od nowych, „innych” słów wzięły obrazy.

Taneczna miniatura

Bogdan Sobieszek

– *Dziewczyny przychodzą do mnie w wieku siedmiu lat, a odchodzą, gdy mają dziewiętnaście. I cały czas tańczą. Kiedy zdarza się, że w szkole zamiast szóstki jest czwórka, dziewczyna mówi: „Nie będę już przychodzić. Rodzice mi nie pozwalają, bo się opuściłam w nauce”. Wtedy pytam rodziców, czy jeśli za miesiąc poprawi ocenę, będzie mogła dalej tańczyć. Jeśli tak, wchodzę na salę każę się spakować i ogłaszam: „Widzimy się za miesiąc, jeśli poprawisz ocenę”. To działa. Miesiąc niechodzenia na zajęcia dla osoby, która kocha taniec, to dotkliwa kara. I to kara ode mnie – mówi Aneta Bus, instruktorka.*

Co to takiego show dance? Aneta Bus chwilę się zastanawia, zanim znajduje odpowiednie słowa. Mówi o spektaklach tanecznych, o choreografii, miniaturach, z których powstaje sceniczna opowieść. Jej ostatnie układy to m.in. „Alicja w Krainie Czarów”, „Królowa zombie”, „Odbicia kobiecości”. A muzyka? Odpowiednia jest każda, która ją poruszy – rozrywkowa, rockowa, klasyczna, filmowa. Stworzyła choreografię do utworów Adele i AC/DC. Przez cztery lata myślała o tym, żeby zrobić coś do „Matriksa”. Aż wreszcie przyszło natchnienie i powstał „Kod jedności”. Inspiracji może być wiele, np. wystawa w domu kultury.

Kiedy zaczęła tańczyć w drugiej klasie szkoły podstawowej w Radomsku, żaden chłopczyk nie chciał z nią być w parze, bo była strasznie gruba. W końcu jeden zgodził się zostać jej partnerem na zajęciach. Dziś jest starostą powiatu radomszczańskieo, a Aneta – efektowną blondynką o smukłej sylwetce.

Ale ponad 20 lat temu był taniec w Państwowym Studium Kulturalno-Oświatowym i Bibliotekarskim w Opolu. Na ostatnim roku miała przygoto-

wać warsztat dyplomowy – stworzyć grupę, którą po roku pracy na miejscu oceni komisja z Opola. – Raz w tygodniu jako wolontariuszka prowadziłam zajęcia w domu kultury w Radomsku. Grupę tworzyło osiem osób, łącznie ze mną. Wydawało mi się wtedy, że gdy zrobię już ten warsztat, dziewczyny odejdą, że spotkałyśmy tylko na chwilę. Coś jednak udało mi się w nich zaszczerpić, bo chciały tańczyć dalej. Ocena komisji była celująca. Zdobyłam licencję instruktora choreografa. Zostałam zatrudniona w domu kultury, a we wrześniu 1994 roku powstał mój Zespół Tańca Nowoczesnego Extasa, który istnieje do dziś.

14-, 15-latki, które przychodziły do zespołu były ciężkie i nieporozciągane, więc już po roku instruktorka stworzyła zespół dziecięcy, żeby mogła pracować od podstaw, przygotować do słuchania muzyki, wyprostować sylwetki. Tak powstał Dziecięcy Zespół Tańca Nowoczesnego Dystans. Dziś jest jeszcze trzeci zespół dla tych, którzy stawiają pierwsze kroki. Z niego wyławia dzieci z dobrym słuchem, sprawnością ruchową i zdolnościami tanecznymi.

Moda na taniec lansowana przez programy telewizyjne napędza różnych kandydatów, ale niekoniecznie dzieci i młodzież. Napędza rodziców, którzy chcą, żeby ich dzieci tańczyły i śpiewały, którym marzy się wielka kariera ich pociech. A dziecko mówi: „nie chcę tańczyć, wolę malować”. Jeśli mimo wszystko pani Anecie nie udaje się zainteresować go tańcem, zgłasza problem rodzicom. Do nich jednak czasem nic nie dociera: – „Ale co też pani..., ona ma taki talent”.

Aneta Bus, jaka sama twierdzi, jest bardzo wymagającym instruktorem. U niej wszystko musi być wykonane perfekcyjnie. Kiedy stworzy choreografię i dzieci są zachwycone, bo się fajnie tańczy, zaczyna



Foto: Z ARCHIWUM MDK W RADOMSKU

startuje 80 zespołów, liczy się najdrobniejszy szczegół, o zwycięstwie decydują milimetry, dziesiątne punktu.

Aneta Bus nie okazuje emocji. „Pani to się nigdy nie denerwuje” – słyszy od swoich dziewczyn. A ona tłumii emocje. „Jestem skomplikowany egzemplarz” – mówi o sobie. Ale kiedy podczas jubileuszu 45-lecia Miejskiego Domu Kultury w Radomsku publiczność biła tancerkom brawo na stojąco, za kulisami płakała z radości. I nie chciała wyjść na sce-

pracować nad techniką, nad każdym najdrobniejszym elementem. Jeśli ręka ma być ugięta pod kątem 45 stopni, to u wszystkich musi być pod tym kątem. Jeśli robią pozycję półszpagatową na prawą nogę z pełnym dociągnięciem ciała, to ma być równo. Dyscyplina ponad wszystko. – *Ćwiczymy tak godzinami, ale chwila prawdy przychodzi dopiero podczas występu. Wtedy może być różnie. Nigdy nie mam pewności, co dziewczyny zrobią i jak to wypadnie. Czasami potrafią mnie tak zaskoczyć, że nie wierzę, że to moje dziewczyny. Zdarzają się też błędy.*

Turnieje są najważniejsze, bo po co tańczyć, po co pracować? Atmosfera podczas prezentacji jest rewelacyjna – wszyscy wszystkich dopingują. Spotykają się tam zespoły z całej Polski – na Tanecznych Wiktoriach w Głownie, Power Dance w Bełchatowie, Piotrkowskiej Panoramie Tanecznej, Drganiach Przestrzeni w Zgierzu. Różnie bywa, ale od paru lat Extasa plasuje się w czołówce. Zawsze się ściga z najlepszymi. Raz Radomsko zgarnia pierwsze miejsce, innym razem zespoły z Góry Kalwarii, z Kielc czy z Piotrkowa. – *Na turnieju, w którym*

nę, by nie okazać słabości przy dziewczynach. Zdarza się jednak, że podczas prestiżowych konkursów, kiedy Extasa wygrywa, coś w niej pęka i wtedy nie ukrywa już łez szczęścia. Gdy z kolei trafia się porażka, nie jest zła, mówi „trudno”, a potem analizuje wspólnie z dziewczynami, dlaczego tak się stało.

– *Te zespoły to 20 lat mojej ciężkiej pracy, ale przede wszystkim ogromny wysiłek moich dziewczyn – hektolitry potu na próbach. One przecież realizują moje marzenia. Pokazują to, co narodziło mi się w głowie. I to jest piękne.*

Na jubileuszu dwudziestolecia mają wystąpić dwa składy Extasy: pierwszy i ten obecny. Wspólnie odtworzą układ, za który zespół dostał w 1996 roku Grand Prix. Najgorszym dla instruktorki momentem jest to, kiedy dziewczyny zdają maturę i wyjeżdżają na studia albo zakładają rodziny. Odchodzą wtedy z zespołu. – *Za każdym razem bardzo przeżywam rozstanie i zawsze im powtarzam, że je kocham, wszystkie jednakowo. W każdej ciężkiej chwili mogą zadzwonić i porozmawiać. Muszę wiedzieć, co się z nimi dzieje. Przecież rosną na moich oczach.*

Se-ma-for na polu walki

Maciej Sztąberek

Jaka jest wojna widziana oczami dzieci? Setna rocznica wybuchu I wojny światowej to dobra okazja do tego, by się nad tym zastanowić – i zrobić o tym film. Łódzkie studio Se-ma-for Produkcja Filmowa wzięło udział w międzynarodowym projekcie „Small Hands in a Big War”.

To ośmioodcinkowy serial z gatunku doku-drama dla młodszych widzów, który pokazuje historię dzieci z różnych krajów Europy podczas I wojny światowej. W każdym odcinku przenosimy się do domu jednego z małych bohaterów, którzy podczas wojennej zawieruchy spisywali swoje przeżycia i wspomnienia na kartach pamiętników. Kolejne odcinki poruszają kluczowe zagadnienia, takie jak honor, propaganda czy rewolucja.

Ważnym powodem powstania „Small Hands in a Big War” była chęć uczczenia setnej rocznicy wybuchu I wojny światowej, która przypada w tym roku. Serial został wyprodukowany przez niemiecką spółkę LOOKS Film & TV GmbH specjalizującą się głównie w dokumentach historycznych. Studio Se-ma-for odpowiadało zaś za realizację zdjęć live action z użyciem animacyjnych dekoracji.

„Small Hands in a Big War” nie należy więc do stu-procentowych animacji, z których przede wszystkim znany jest Se-ma-for. – *Zdjęcia live action są realizowane za pomocą normalnej kamery filmowej. Różnią się tym od animacji, że nie są robione poklatkowo. W naszym studiu najczęściej wykonujemy właśnie animacje poklatkowe za pomocą aparatu fotograficznego, którym rejestrujemy sekwencje ruchu, klatka po klatce* – wyjaśnia kierownik produkcji

Katarzyna Gromadzka. Zdjęcia w łódzkim studiu trwały jedenaście dni i zakończyły się 18 grudnia 2013 roku.

Twórcy postanowili uwydatnić dziecięcą perspektywę poprzez wykreowanie wymyślonych krajobrazów w postaci makiet animacyjnych. To właśnie w łódzkim Se-ma-forze wykonano dziesięć realistycznych makiet, z których największa miała prawie dziewięć metrów kwadratowych, a najmniejsza nieco ponad trzy. Towarzyszyły one cytatom z pamiętników, a przy okazji znacznie ułatwiały pokazanie scen bardzo trudnych do realizacji, takich jak na przykład atak zeppelinów na Londyn. Makieta była również mapa pojawiająca się w czołówce każdego odcinka. Pracownicy studia stworzyli wzgórze, wybrzeża, pola walki, a nawet Pałac Zimowy w Petersburgu. Wykonano również plan do zdjęć pod wodą z modelami U-Bootów oraz serię rekwizytów i postaci. Tworzenie dekoracji zajęło dwa tygodnie.

Umieszczone na planie makiet postacie nie poruszają się. Dynamikę zapewniał ruch kamery oraz efekty specjalne, takie jak wybuchy, pożary czy lawiny. Interesujący wydaje się fakt, że do wykonania zdjęć live action użyto kamery Sony F55, którą zazwyczaj stosuje się przy dużych fabular-



Na planie serialu „Small Hands in a Big War”

nych produkcjach. Operatorzy korzystali również z niewielkiej kamery GoPro, która ze względu na swój rozmiar pozwoliła między innymi na zrealizowanie na makietach zdjęć w okopach. Co ciekawe, mimo wykorzystania technik animacyjnych, serial ten jest w większym stopniu produkcją aktorską.

„Small Hands in a Big War” został wyreżyserowany przez Matthiasa Zirzowa, znanego przede wszystkim dzięki nagradzanemu serialowi dla młodzieży „Dzieciaki z Einstein High”. Twórcom serialu zależało, aby mali bohaterowie starali się wpłynąć na rozgrywające się wokół nich wydarzenia, a nie pełnili tylko rolę obserwatorów. Z tego powodu dzieci te stają przed trudnymi wyborami, co jest pretekstem do poruszenia ważnych – zdaniem twórców – tematów. W jednym odcinku młody austriacki pasterz zostaje zmuszony do przeprowadzenia przez Alpy włoskich żołnierzy, którzy chcą zaatakować jego rodaków.

Oprócz Se-ma-fora koproducentami są holenderska telewizja NTR, szwedzka UR, szkocka BBC Alba, walijska Cwmni Da oraz kanadyjski dystrybutor Filmoption International. Serial zostanie wyemitowany w kilkunastu krajach Europy, między innymi w Holandii, Wielkiej Brytanii, Austrii, Niemczech, Belgii, Szwajcarii czy Szwecji. Dystrybutorem serialu w Polsce jest studio Se-ma-for Produkcja Filmowa. Data polskiej premiery nie jest jeszcze znana.

Warto zauważyć, że jest to już kolejna produkcja



międzynarodowa, w której Se-ma-for wziął udział. Do najbardziej pamiętnych należą między innymi oscarowy „Piotruś i wilk”, który był koprodukcją polsko-brytyjsko-norweską oraz „Danny Boy” powstały we współpracy twórców z Polski, Szwajcarii i Włoch. Ogólnoświatowym uznaniem cieszy się ostatnia – samodzielna – produkcja Studia: serial o przygodach Zajączka Parauszka. Obecnie w realizacji jest już drugi sezon tego serialu. Tymczasem wieść niesie, że Se-ma-for już przygotowuje się do kolejnej, polsko-norweskiej koprodukcji – animowanego dokumentu pt. „Tower”. Nie oznacza to, że „Small Hands in a Big War” zakończy współpracę Se-ma-fora z LOOKS Film & TV GmbH. Jak mówi prezes studia Se-ma-for Produkcja Filmowa, Zbigniew Żmudzki: – *Producenci z Niemiec są bardzo zainteresowani współpracą przy realizacji dużych projektów animowanych. Myślę, że trzeba rozszerzyć nasze działania także na inne gatunki.*

O akademiach

Krzysztof Golec-Piotrowski

„Akademię Pana Kleksa” kręcono w pięknym Nieborowie oraz w Łodzi. A kogo kręci Akademia Sztuk Pięknych w Łodzi? Nieboraków. Kleks.

Nieboracy owi, przytłoczeni ogarniającym mieszkańców pesymizmem, postanowili dać odpór fali zła i zachwycić się wszystkim, co łódzkie, a nie jest im obce. *Nie byliśmy, nie jesteśmy i nie będziemy fa-*

nami narzekania. Może i Łódź jest niechlujna, ale to abnegacja wykreowana, hipsterska. Warszawie do Łodzi daleko, przenieśmy stolicę tu i codziennie będzie coś dobrego i pięknego. Niech żyją akademie ku czci!

Nieboracy zostali swego czasu opisani przez Andersena w „Nowych szatach cesarza”. Byli to tak



zwani nieboracy-dworacy. Obecnie są to raczej nieboracy-zaklinacy. Zaklinają rzeczywistość i ta pod wpływem gry słów kreuje się piękniejsza. Rzeczywistość ogrywana pozorami. Tak działa magia literatury, choćby i literatury spod skrzydeł XI Muzy, najmłodszej, modnej Internetu.

Bolesław Kardaszewski (mało kto pamięta, że współautorem projektu starego budynku ASP był Włodzimierz Nowakowski, a uczelnia nazywała się PWSSP) zaprojektował w latach siedemdziesiątych składający się z wielu brył gmach na brzegu Łódki. Akademię Le Corbusier mawiał, że architektura to gra brył w słońcu. Do niedawna wszystko pięknie grało i było na miejscu: przeszklone fasady z czerwionawą delikatną siatką podziałów i mocarne nawisy nad nimi wprost nawiązujące do architektury japońskiej, choć przefiltrowane przez poetykę surowego modernizmu. Orientalizujące też było posadowienie zespołu na skarpie tak, by przestrzeń parkowa otaczała architekturę ze wszystkich stron, między innymi dzięki patiom z niewielkimi drzewkami rodem z Japonii. Tak zaprojektowano to miejsce.

Akademia Sztuk Pięknych to Miejsce. TO miejsce nazywa się Jama. Nie szara, nie naga, ale ubrana teraz w „modny” kostium marketowy, pudełkowy, szklano-blaszany, sztuk dwie. Pycha! Pycha musiały rozpierać projektantów dobudowy nowych pawilonów do starego gmachu. Porwać się na takie trudne zamierzenie, nie mając doświadczenia, umiaru, wyczucia proporcji i harmonii? „Ja mam – mam pomysły, tupet, projekt”.

W felietonie trudno roztrząsać skomplikowaną decyzyjną drogę od pomysłu rozbudowy gmachu ASP do realizacji architektonicznej w kształcie OSB. OSB to tajemniczy skrót budowlany dla popularnego, taniego materiału. W tym wypadku rozszyfrować go należy jako Ośrodek Sztuki Brzydkiej, o ile taka architektura jest sztuką. Chyba nie sztuka tak projektować?

Nowe bryły przytłaczają stare. Są od nich wyższe, przez brak podziałów długich fasad powstaje wrażenie niezamierzonego monumentalizmu w stosunku do starych form, które w detalu skutecznie

maskowały rozłożystość starego założenia. Nowe jest nudne, płaskie, nieekonomicznie nadwieszane oraz, co można zaobserwować mimo roku od oddania do użytku – pustawe. Otoczone morzem szarej kostki bez przyjaznej małej architektury do posiedzenia, przypięcia, oświetlenia czy przeczytania, za to upstrzone kamerami, skrzynkami a dookoła ogrodzone – co brutalnie kłóci się z ideą wkomponowania w zielen starszej części ASP.

Zamiast ogrodów japońskich są smętne, trywialne iglaki. Czerwień delikatnych podziałów okiennych u Kardaszewskiego była zabawą pionami i poziomami, czerwień nowej przybudówki jest aroganka, agresywna i jednowymiarowa. Za to sprawia, że oba dobudowane pawilony wydają się jednakowej wielkości, chociaż ta czarna, ze znakami a'la Kopro, jest jednak wyraźnie większa. Między pawilonami powstała rozpadlina, jama.

Czy z brzydkiej jamy mogą wyjść piękne, zdolne bestie? Oczywiście, nawet mogą się zdać jeszcze piękniejsze, jak kwiaty na pustynnym, żużlowym tle wulkanu. Szkoda więc, że nowe pawilony nie są jeszcze brzydsze... Na ich pustych, czarnych i czerwonych fasadach można namalować murale, na szarym bruku dookoła ustawić rzeźby Marcela Szytenchelma, na ogrodzeniach dookoła powiesić banery zachęcające do malowania, lepienia, rycia, szycia i kreowania.

Gdyby Władysław Nobel Reymont był łaskaw żyć 100 lat później, napisałby (może początkowo w formie bloga) książkę „Ziemia Kreowana”. Opowiadałaby ona o trzech sprytnych panach, którzy postanawiają robić interesy. Jeden organizowałby festiwale, drugi stawiał rzeźby, a trzeci malował sprejem po murach. Dzieło godne co najmniej Nike pokazywałoby, jak upada stary porządek (przestrzeni), rodzą się nowe fortuny i niefortunne pomysły.

Gdyby Andrzej Oscar Wajda był łaskaw pożyć jeszcze długo, nakręciliby na powyższej podstawie wspaniały film o tych panach, może nagrodziłaby go nawet Akademia. Jako statyści wystąpiliby w nim nieboracy. A przepraszam, filmu jeszcze nie ma, a oni już grają.

Z warsztatu **mistrza?**

Monika Nowakowska

Kustoszu Ryszard Rau w Muzeum w Oporowie bada pochodzenie tajemniczego XVII-wiecznego obrazu. Ma cichą nadzieję, że jest to dzieło mistrza z Haarlemu lub z Antwerpii. Byłaby to wielka sensacja, bowiem polskie muzea nie posiadają prac Fransa Halsy, a jeden portret przypisywany Cornelisowi de Vos znajduje się w Muzeum w Tarnowskich Górach.

Późnogotycki zamek w Oporowie koło Kutna od 1949 roku mieści muzeum ze stałą ekspozycją wnętrz dworskich. Kataklizmy dziejowe oszczędziły mury tej niewielkiej rezydencji obronnej, wzniesionej w połowie XV stulecia dla rodu Oporowskich herbu Sulima. Niestety, zarówno po nich, jak



„Portret dziewczynki” w Muzeum w Oporowie

i po kolejnych właścicielach zamku zachowały się nieliczne pamiątki. Dlatego też Muzeum-Zamek w Oporowie musiało zgromadzić dzieła sztuki i wyroby rzemiosła artystycznego, dokumentujące kulturę szlachecką i budujące klimat zamkowych wnętrz: obrazy, rzeźby, tkaniny, rzemiosło artystyczne, meble. Pochodzą one z przekazów, darów i zakupów, dla których dobrym okresem były lata 80. minionego stulecia, kiedy to oporowskiemu muzeum udało się pozyskać cenne obiekty.

Takim nabytkiem okazał się namalowany na desce niewielkich rozmiarów olejny „Portret dziewczynki” z lat 20. XVII wieku, przypisywany nieznanemu artyście z Holandii. Zdaniem Ryszarda Raua, owym tajemniczym autorem (obraz nie jest sygnowany) mógł być czynny w tym okresie w Haarlemie Frans Hals (ok. 1580-1666) – jeden z najwybitniejszych, obok Rembrandta i Jana Vermeera, malarzy holenderskiego baroku, mistrz portretu zbiorowego, ale i wizerunków indywidualnych, także dziecięcych. W ówczesnych portretach, obok oddania fizycznego podobieństwa i głębi psychologicznej modela, istotne były wieloznaczne atrybuty, ubiór, poza i otoczenie, zawierające wiele informacji o sportretowanym. O taką analizę pokusić można się także w przypadku „Portretu dziewczynki” z oporowskiej kolekcji.

– Na palcu dziecka siedzi papużka. Ptaki te malowano jako przestrożę przed obmową i plotkami, które rzekomo miały być domeną białogłowy. Czerwo-

ne korale, noszone jak szarfa, ustrzec miały przed urokami. Sukienka z motywami żółędzi wydaje się wskazywać na męstwo albo pierworództwo w przypadku dziewczynki. Koronki zaś zbliżone są wzorem do tych noszonych przez inne dzieci uwieczniane przez Fransa Halsa i Cornelisa de Vosa – uważa Ryszard Rau, badający obraz pod kątem przygotowywanego katalogu oporowskich zbiorów.

Specjalnością de Vosa (1581-1651) – działającego w Antwerpii flamandzkiego malarza i rysownika, współpracownika Rubensa – były portrety we wnętrzach. Wszystkie typowe dla jego dzieł cechy odnajdziemy w oporowskim „Portrecie dziewczynki”. Jednak maluchy uwieczniane przez Cornelisa są zazwyczaj urocze i roześmiane, podczas gdy poważna twarz dziewczynki z oporowskiego obrazu sprawia wrażenie jakby przedwcześnie postarzałej lub wyjątkowo nieurodziejowej... Takie typy interesowały bardziej Fransa Halsa, który obok dostojnego mieszczaństwa chętnie malował postacie z tak zwanego plebsu: Cyganki, czarownice, ulicznych grajków, z wirtuozerią oddając ich defekty i ułomności. Po mistrzowsku stosował czern, także w tle portretów, czego doskonałym przykładem jest „Portret Cathariny Hooft z opiekunką” z 1620 roku, znajdujący się w Gemäldengalerie w Berlinie i mający wiele analogii z obrazem z Oporowa. Dzieła te łączy, poza podobieństwem fizycznym sportretowanych dziewczynek, bogactwo kolorystyczne w oddaniu niuansów wykwinnych strojów oraz naturalistyczne potraktowanie dłoni, którym Hals poświęcał wiele uwagi, zwłaszcza ich gestom i trzymanym w nich atrybutom.

Malarstwo to wciąż porusza wyobraźnię twórców. Współczesny pastisz berlińskiego obrazu Fransa Halsa zaprezentowany został podczas pokazu mody brytyjskiej projektantki Vivienne Westwood w Canberze w Australii. Jeden z projektów przedstawiał suknię z dekoltem, z którego jak z torby kangurzyca wyglądało halsowskie dziecko.

Portret z Oporowa nie dorównuje warsztatowo



„Portret Cathariny Hooft z opiekunką” z Berlina

dziełu z Berlina, stąd wysnuć można hipotezę, że powstał w haarlemskiej pracowni mistrza – malarstwem portretowym zajmowali się również jego młodsi bracia Joost i Dick, synowie, zięć oraz liczne grono uczniów i naśladowców, nie dorównujących wszakże Halsowi talentem. Bywało też i tak, że jeden obraz malowało kilku artystów: mistrz zazwyczaj rozrysowywał kompozycję, pozostali partiami realizowali dzieło.

Jak „Portret dziewczynki”, określanej też paskudnym dzieckiem, trafił do Oporowa? Został wypatrzonej w poznańskiej Desie i zakupiony do muzealnych zbiorów w 1982 roku; od kilku lat wisi w zamkowej sypialni nad szafką słupkową z XIX wieku, dopełniając neogotyckiego i neorenesansowego wystroju pomieszczenia.

43 wiersze przeciw światu

Tomasz Cieślak

Tę książkę trzeba przeczytać bardzo starannie, nieśpiesznie, rezygnując z prostych i pochopnych ocen. Pobieżne przejrzenie nowego tomu poezji łódzkiego anglisty, tłumacza i krytyka, Kacpra Bartczaka, *Przenicacy*, może bowiem wywołać u czytelnika co najwyżej spory zamęt. Na pewno nie wzbudzi natomiast chęci przestudiowania zbioru od początku do końca. Trudno bowiem uchwycić w pierwszej, zwłaszcza wrywkowej lekturze to, co najważniejsze i najwartościowsze. Bo uwagę odbiorcy przykuwa najpierw warsztat – kwestia, jak te wiersze zostały zapisane, co autor robi (a raczej: brawurowo wyczynia) ze słowami i składnią. Językowe szarżowanie Bartczaka można niesłusznie odebrać jako zabawę, za zachętę do niej uznając już sam, dziwny przecież, tytuł zbioru. Nie dajmy się jednak zwieść, nie o zabawę, nie o zgrzywę tu chodzi, a na pewno nie o prostą przyjemność.

Dawno nie czytałem tak nieoczywistego, a jednocześnie tak konsekwentnie skomponowanego zbioru liryków, który wprost, ale nie natrętnie, bez rozdzielania razów i kuksańców, komentowałby nasz współczesny świat. Poeta próbuje opisać, subtelnie i z pasją, punktowo i w całej komplikacji, zatem bez fascynacji tylko, ale i bez jedynie obrzydzenia (a jest w tych wierszach wyraźnie i jedno, i drugie) to, co nas otacza – i w czym bezwiednie tonimy. Bartczak jest w swojej najnowszej książce i bacznym obserwatorem, i surowym krytykiem, i – mimo wszystko – (nieco perwersyjnym) miłośnikiem tego świata.

Ale też, czasem, zamkniętym w wieży z kości słoniowej, zdystansowanym, wyniosłym moralistą.

Ta niejednoznaczność perspektywy oglądu jest moim zdaniem wartością samą w sobie, bo chroni przed publicystyką, przed ferowaniem wyroków i wypisywaniem prostych recept. Bohater i podmiot wierszy pokazuje różne codzienne nasze sprawki i pyta: czyż nie jest tak? czy nie widzisz, że właśnie tak jest? A on widzi wiele. Po pierwsze – i najważniejsze – że żyjemy w świecie, który się rozsypał, nie ma centrum, zatracił spójne sensy. Jest sztuczny („W sztuczności nieprzebrany”). Jest wirtualny jak pieniądze („tych pieniędzy nie ma one nie istnieją/ powiedz nie istniały powiedz posłuchaj/ co mówisz”). Nieważny i nieważki jak wszelki news, jak każda informacja, która jest fetyszyzowana, jej obieg podlega rytualizacji, a sama – przestaje znaczyć, bo znaczy tylko to, że jest, a nie – jaki ma sens („Mówili to już?”; „Się powie że było mówione” – bo przecież ważne tylko, że >się mówi< i mówi się o tym, że >się mówi<). Tak, to chyba najistotniejsze rozpoznanie: żyjemy w świecie na niby i na sprzedaż. Że to banalne, nic nowego? Że truizm? Może i tak, ale Bartczak niezwykle celnie, obrazowo pokazuje, co to naprawdę znaczy, umie bowiem świetnie przełożyć ten fakt na język doświadczenia. Jesteś, o ile da się ciebie zapisać jako piksele („Był niefotogeniczny/ Nie generował foto Trudno go / było sobie wyobrazić”). Jesteś, o ile konsumujesz („Jaka informacja do ciebie dociera”) i podlegasz konsump-

cji „w smole transmisji nieprzerwanej” („o ile ludzie siedzą przed odbiornikiem”).

Rozsypała się nam rzeczywistość, nie da się ukryć. Ale w *Przenicacy* zapisał Bartczak próby odnalezienia jeśli nie remedium, to azylu – a może tylko zgrabnego narzędzia do samooszukiwania się, do podtrzymania złudzeń? Bóg? To najwyraźniej sfera wątplenia („nie mam konfesji”), ale też poszukiwania czegoś, co może jest jednak pod powierzchnią świata. Tak skłonny jestem odczytać wyraźnie litanijną (ale też w pewnym sensie lamentacyjną) strukturę niektórych wierszy (*Widok równiny mazowieckiej*, *Całunek poświata*). Jako ślad – obecności, nadziei? A może to tylko kulturowo umotywowany, retoryczny zabieg? Nie ma więc ucieczki? A poezja? Sporo jest w tym tomie wypowiedzi na jej temat. *Całunek poświata* także ma charakter metapoetyki, zdaje się być modlitwą o siłę kreatywną liryki („wynidź prowadzaj światy”) – ale ostatni jego wers nie pozostawia złudzeń: „daj żeby powiel transparent”. Bo współczesna poezja, jak widzi ją Bartczak, jest pusta. Poeta „w mailach się posiał podział / zaistniał w serwerach”. Wiersze – zauważa sarkastycznie – „[...] Są piękne donikąd / nie wiodą [...]”,



a pisać to „Mówić z siebie / bez egzystencji przed esencją”. Nie ma zatem odwrotu ani ratunku od pustki i banału, od „naporu nic i cacy” (bo tak trzeba by rozumieć tytuł tomu)? Widzę (ciekawie, czy wbrew intencji autorskiej) pewien rys nadziei. W bliskości, w intymności, w uczuciu – w doświadczeniu, nawet tym trudnym, jak śmierć bliskiej osoby. Bo jest ono autentyczne, nie do przesłonięcia, zagadania, zafałszowania. Jak inaczej odczytać, powtórzoną w dwu kolejnych wierszach, formułę: „Nie

tylko żyć / Nic tylko żyć”, albo – jeszcze wyraźniej: „Miłość daje smak murom / w naszym śmierzącym mieście”.

Nielatwy jest najnowszy tom Bartczaka. Widać w nim poetycką i etyczną pasję, widać literackie fascynacje (najwyraźniej: Białoszewski, zupełnie inaczej, czasem wbrew: Sosnowski). Mniejsza zresztą o nie (te i wiele innych). To zbiór niezwykle dojrzały, bardzo konsekwentnie zbudowany. Chyba otwiera nowy etap w dorobku tego ciekawego poety.

Kacper Bartczak, *Przenicacy*, Wydawnictwo WPiCAK w Poznaniu, „Biblioteka Poezji Współczesnej”, tom 72, Poznań 2013.



„Ziemia łódzka. Krajobraz kulturowy województwa łódzkiego”.

Urząd Marszałkowski Województwa Łódzkiego, Łódź 2013.

Bardzo ładnie wydany obszerny album ze zdjęciami przedstawiającymi najciekawsze i najbardziej urodziwe miejsca naszego regionu poza centrami miejskimi czy przemysłowymi. Autorem fotografii jest Piotr Wypych. O tym, jak widzi nasz krajobraz i co w jego prezentacji jest dla niego istotne, możemy przeczytać w krótkim wstępie. Stworzenie albumu wymagało niezliczonych podróży, poznania każdego zakątka ziem położonych między Pilicą, Wartą i Bzurą. To praca, która właściwie nigdy się nie kończy. Żeby takie bogactwo obrazów ująć w karby publikacji, trzeba przyjąć jakieś kryteria, usystematyzować materiał, którym się dysponuje. Krajobraz „oswojony”, Krajobraz kulturowy z „sacrum”, Kraina grodzisk i zamków..., Kościoły i klasztory, Zakłète w drewnie, Zakłète w kamieniu, Pałace i dwory, Pamiątki techniki, Kultura ludowa, Miejsca pamięci narodów – tak widzi krajobraz Piotr Wypych, a jego spojrzenie jest obiektywne.

Rzeka w gablocie

Bogdan Sobieszek

Ludzie, którzy pierwszy raz słyszą nazwę Skansen Rzeki Pilicy, często się dziwią: „A co oni tam – wodę pokazują?” Rzeczywiście, jest to skansen niepodobny do żadnego innego. Na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie bałaganu, złomowiska, rupieciarni. Za eksponaty „robią” tu m.in.: młyn wodny, czołg, budynek poczekalni kolejowej, schron żelbetowy, krypa rybacka, transporter opancerzony i nowy nabytek – szczelina przeciwlotnicza wykopana niedawno na głównym placu Tomaszowa Mazowieckiego. Na razie betonowe elementy leżą pod płótem, ale niebawem „zabytek” zostanie poskładany i zagłębiony w ziemi na terenie skansenu. Dołączy do innych zdobyczy wojennych Andrzeja Kobalczyka, dziennikarza z powołania, historyka z wykształcenia i zamiłowania, twórcy tego nowatorskiego przedsięwzięcia, jakim jest Skansen Rzeki Pilicy.

– *Rzeka to nie tylko przyroda, ale i przestrzeń kulturowa. Ma wpływ na zajęcia ludności, na obyczaje i język – tłumaczy Andrzej Kobalczyk. – Stąd bierze się specyfika tego skansenu. Zajęliśmy się nie etnografią, budownictwem tradycyjnym, sztuką ludową danego regionu, ale przestrzenią kulturową rzeki. To jest skansen wielodziałowy. Mamy: młynarstwo wodne, „wojenne trofea Pilicy”, zbiory związane ze sportami wodnymi, tradycjami kuracyjnymi, sztuknictwem ludowym. U nas każdy znajdzie coś dla siebie: i mały chłopiec, i duży, panie również. Stąd popularność skansenu, który rocznie odwiedza 35-40 tysięcy zwiedzających.*

Dyrektor, jak mówi, wychował się na legendzie zatopionej dywizji niemieckiej podczas forsowania Pilicy w 1945 roku. Część z należących do niej pojazdów wiele lat tkwiła zagrzebana w rzeczonym dnie, aż miejscowi pasjonaci zaczęli je wydobywać. Akcje inicjował Kobalczyk – pierwsza odbyła się w

1988 roku. Dwa pojazdy udało się uruchomić. Jeździły po swoich dawnych śladach. Kobalczyk pisał o tym w lokalnej prasie. Popularyzował, przekonywał. – *Te pojazdy były zdobyczą rzeki i tworzyły z nią tak zwany kontekst historyczny. Żał mi było, że tu nie zostają. Stąd pomysł na skansen.*

Wreszcie w 1997 roku powstało Stowarzyszenie Miłośników Pilicy i Nadpilicza. Jego głównym celem było doprowadzenie do powstania skansenu. Członkowie stowarzyszenia przekonywali władze Tomaszowa, że alternatywą dla upadku przemysłu może być wykorzystanie atutów turystycznych miasta i rzeki. A żeby dać przykład, zrekonstruowali tratwę pilicką, a właściwie jej podstawowy element, czyli taflę. Miała tradycyjny hamulec zwany szrekiem i drygawkę na przodzie, czyli wiosło do sterowania, kuchnię flisacką, szałas. I ważyła 10 ton. Po tygodniu budowania urządzili flisacki piknik i przepłynęli 800 metrów od mostu do przystani. W grudniu 2000 roku podpisana została umowa o wspólnym tworzeniu Skansenu Rzeki Pilicy. Miasto wykupiło teren pod siedzibę skansenu nad rzeką w pobliżu Niebieskich Źródeł i sprowadziło pierwszy obiekt – młyn z Kuźnicy Żerechowskiej.

– *Tu wszystko powstaje na piachu, nie weszliśmy do gotowych obiektów – mówi dziś z dumą Kobalczyk.*

Rzeczywiście, wszystkie budynki skansenu zostały przeniesione z okolicy. Jako druga przywędrowała ze Spały toaleta carska, która kiedyś stała tam nad stawem. W latach 50. została zaadaptowana na punkt informacji turystycznej, aż podupała. Następna była przedwojenna weranda kolonii kasy chorych dla dzieci z biednych rodzin. Potem – spichlerz z zakładanego przed wojną ośrodka hodowli żubrów w Smardzewicach. Kolejny obiekt to wartownia z lat 30., która stała kiedyś w Spale przy

Fot.: BOGDAN SOBIESZEK



wjeździe do miasta. Schron żelbetowy został przeniesiony cztery lata temu spod Sulejowa.

Jednym z ostatnich nabytków jest poczekalnia na przystanku kolejowym Wolbórka – obecna siedziba dyrekcji skansenu. Wybudowana jako pawilon wystawowy kolei warszawsko-wiedeńskiej na wystawę w Niżnym Nowgorodzie w 1896 roku. Wizytował go car Mikołaj II. Po wystawie budowla trafiła na przystanek pod Będkowem. Reymont zaglądał do tego budynku, gdy jeździł do szkoły krawieckiej w Warszawie. W czasie II wojny światowej poczekalnia „uczestniczyła” w ataku Szarych Szeregów na most w Czarnocinie. Po wojnie budynek przez lata niszczał. W 2004 roku PKP opuściły go, a po dwóch latach trafił do skansenu. Miasto przeznaczyło ok. 200 tys. zł na odbudowę z adaptacją na biuro.

– Ratujemy te budynki i wykorzystujemy jako miejsca ekspozycji, magazyny albo pomieszczenia administracji – mówi Kobalczyk. – Następny będzie hangar na samolot prezydenta Mościckiego. Teraz jest czas porządkowania ekspozycji. We młynie widziałbym młynarstwo wodne i spławy drewna na Pilicy. Militaria pójdą do hangaru – wszystkie czołgi, pojazdy, pierwsza i druga wojna. Specjalnością naszego skansenu jest ożywianie historii. Czas martwych muzeów minął. Rocznie organizujemy nawet pięć inscenizacji historycznych. Staramy się odtwarzać autentyczne wydarzenia znad Pilicy. Tworzymy żywe obrazy, formy parateatralne.

„Tu wszystko powstaje na piachu” – te słowa odnoszą się także do nowej filii skansenu – Grot Nagórzyckich. W wyrobisku po dawnej kopalni piasku kwarcowego do produkcji szkła powstała podziemna trasa turystyczna o długości 160 metrów. Przeznaczono na to 3,5 mln zł pieniędzy unijnych oraz ok. 1,3 mln zł z funduszy miejskich. Przedtem czas w grotach spędzali dzicy turyści, zakochani i wagarowicze. Dziś pod sklepieniem z piaskowca chodzą grupy turystów, a opowieści przewodników ilustrują scenki rodzajowe przedstawiające górników przy pracy, furmanki i konie, ale także zbója Madeja i nagórzyckiego diabła.

– Doprowadziliśmy do powstania produktu turystycznego Tomaszowska Okrąglica – mówi Andrzej Kobalczyk. – To unikatowe połączenie przyrody i historii. W skład Okrąglicy wchodzi Niebieskie Źródła ze ścieżką edukacyjną, Skansen Rzeki Pilicy i Groty Nagórzyckie. To wszystko w granicach administracyjnych miasta na obu brzegach Pilicy. Można zatoczyć krąg, przejeżdżając przez most przy skansenie i tamę Zalewu Sulejowskiego. Marzy nam się urządzenie spływów tratwami od tamy w Smardzewicach do Niebieskich Źródeł. Oraz przeprawy promowej między skansenem a przystaniami na Pilicy. To byłaby dodatkowa atrakcja. Można byłoby utworzyć ścieżkę fortyfikacyjną, bo na tamtym brzegu jest ponad 30 różnych schronów – unikatowy w Europie skansen fortyfikacji polowych z końca II wojny światowej.

Biblioteka wydaje

Danuta Trzcńska*



We współczesnym świecie biblioteki odgrywają ważną rolę kulturową i komunikacyjną, a ich działania często wykraczają poza standardowe usługi. Miejska Biblioteka Publiczna im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w Ozorkowie to nie tylko wypożyczalnia książek, ale przestrzeń, w której realizowane są różnorodne projekty odpowiadające na potrzeby lokalnego środowiska. Jedną z takich nieoczywistych aktywności jest działalność wydawnicza. Ozorkowska księżnica ma w dorobku 20 tytułów.

Zaczął się w roku 1998 od bardzo skromnego tomiku pt. „Ja i mój świat”, zawierającego wiersze laureatów I Wojewódzkiego Konkursu Poetyckiego im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Od tego czasu corocznie wydajemy pokonkursowe tomiki. Od 2006 roku, dzięki współpracy z Małgorzatą Półrolą, germanistką z Uniwersytetu Łódzkiego, zawierają również niemieckie tłumaczenia wierszy.

W roku 2006 wydaliśmy zbiór „Ozorków – moje miasto najbliższe” z pracami nagrodzonymi w konkursie literackim o tym samym tytule. Już wówczas zaczął kiełkować w mojej głowie pomysł wydania publikacji popularnonaukowej. Dla uczczenia 195. rocznicy nadania naszemu miastu praw miejskich, wydaliśmy w 2011 roku „Architektoniczne walory Ozorkowa”. Album, kierowany głównie do dzieci i młodzieży, zawiera krótką historię miasta, artykuł na temat lokalnej architektury oraz fotografie archiwalne i współczesne. Dużą satysfakcję sprawił nam

fakt, że książka otrzymała nominację do Nagrody Złoty Ekslibris Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego za 2011 rok.

Kolejna publikacja albumowa to „Moje pejzaże” z 2012 roku. Pomysł zrodził się na wernisażu wystawy obrazów Jana Cholewczynskiego. Album zawiera dorobek malarski i fotograficzny z wędrowek autora. Bibliotekarki opracowały koncepcję i pomogły w doborze materiału, a koszty wydania pokrył autor.

Równoległe z przygotowaniem „Moich pejzaży” postępowały prace nad „Bibliografią miasta i gminy Ozorków”, która ukazała się drukiem w sierpniu 2012 roku. To pierwsza próba zebrania piśmiennictwa dotyczącego Ozorkowa oraz miejscowości należących do wiejskiej gminy. Opracowanie zawiera 574 pozycje i jest cennym źródłem informacji. Można z niej korzystać również on-line na stronie www.mbpozorkow.net.

Pomysłów na kolejne książki nie brakuje. Pracujemy nad przygotowaniem pozycji pt. „Przemysł starszy od miasta” Pawła Andrzeja Górniego. W końcu roku wydamy wiersze laureatów konkursu im. Baczyńskiego. Dwujęzyczną publikację wyślemy, tak jak wszystkie polsko-niemieckie tomiki, do Niemieckiej Biblioteki Narodowej oraz do kilkunastu bibliotek publicznych w Niemczech. Wierzymy, że to doskonała promocja kultury polskiej za granicą.

* Dyrektor MBP w Ozorkowie

1 IV, godz. 18, s. 323
Spektakl pt. „**Iluzje**”, Teatr California – *wstęp wolny*

2 IV, godz. 19, Sala Kolumnowa
„Biesiada cygańska” – koncert zespołu **Cztery Struny Skrzypiec**. *Bilety – 30 zł*

3 IV, godz. 18, s. 323
Premiera spektaklu pt. „**Elżbieta H.**”, Teatr YETA – *wstęp wolny*

4 IV, godz. 18, s. 323
Premiera spektaklu pt. „**Rowerek**”, Teatr PST – *wstęp wolny*

4, 11, 25 IV, godz. 17, s. 313
Klub Kosmobiologii: **Wieczór dyskusyjno-filmowy** (4 IV, s. 221), **Spotkania w IV wymiarze** – wykład Ilony Kubackiej (11 IV), **Naturalne metody wzmacniania odporności** – prelekcja Krzysztofa Burtka (25 IV)

5, 12, 26 IV, godz. 10-14, s. 308
Filatelistyczne spotkania wymienne

6 IV, godz. 10-17, s. 6
Wielkanocny Kiermasz Sztuki Ludowej i Rękodzieła oraz **Warsztaty Plastyki Obrzędowej**

7 IV, godz. 17, Sala Kolumnowa
Viva Verdi!!! – w 200. rocznicę urodzin – prezentacje wszystkich oper kompozytora: „**Don Carlo**” (Festiwal w Salzburgu). *Wstęp – 8 zł*

7 IV, godz. 17, s. 308
Łódzki Kaktus Klub: **Chile – śladami Friedricha Rittera, cz. 2** – prelekcja Grzegorza Matuszewskiego

7, 28 IV, godz. 19, s. 408
Stowarzyszenie Akademia Mądrego Życia:
Celowe życie, czyli jak dobrze gospodarować swoim czasem (7 IV)
Jak odkryć w sobie renesansową duszę? (28 IV)

9-10 IV, godz. 17, Sala Kolumnowa
Polskie Towarzystwo Tatrzzańskie Oddział Łódzki:
Dni Gór 2014 – „Narciarstwo... czyli zdumiewająca historia *dwóch* *desek*”

11 IV, od godz. 9, s. 221, 323
Eliminacje miejskie **59. Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego** – *wstęp wolny*

13 IV, godz. 16, Miejski Dom Kultury w Radomsku
Wernisaż wystawy pt. „**Ludowe anioły**”, przygotowanej przez ŁDK (do 30 IV)

14 IV, godz. 17, Sala Kolumnowa
Z cyklu oper Giacomo Meyerbeera w 150. rocznicę śmierci kompozytora: „**Dinorah**” (Teatr Imperialny Napoleona III w Compiègne). *Wstęp – 8 zł*

15 IV, godz. 18, s. 221
Koło Przewodników Beskidzkich: **68. Wieczór Przewodnicki**

23 IV, godz. 10-18, Sala Kolumnowa
Regionalna Otwarta Scena Artystyczna „ROSA”

24 IV, godz. 19, Sala Kolumnowa
Koncert zespołu **Krótkie-es i Grey Smoke**

25-26 IV, od godz. 9, s. 221, 323
Finał wojewódzki **59. Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego** – *wstęp wolny*

28 IV, godz. 18, Sala Kolumnowa
Klub Podróżników: **Norwegia – ludzie i krajobrazy** – prelekcja Eulalii Białobrzeskiej

29 IV, godz. 18, s. 408
Towarzystwo Genealogiczne Centralnej Polski:
Parafie łódzkie – powstanie i granice, cz. II – prelekcja Joanny Gajderowicz

W KINIE:

PROPOZYCJE KINA ŁDK:

KAMIEŃ NA SZANIEC (*Polska*) – **28 III-3 IV**;
GRAWITACJA 3D (*USA-Wlk. Brytania*) – **28 III-3 IV**;
ANIOŁ ŚMIERCI (*Argentyna*) – **28 III-3 IV**;
BORGMAN (*Holandia*) – **28 III-3 IV**;
OBIETNICA (*Polska*) – **4-10 IV**;
NAUKA SPADANIA (*Wlk. Brytania*) – **4-10 IV**;
ARTYSTA I MODELKA (*Hiszpania*) – **4-17 IV**;
TEST NA ŻYCIE (*USA*) – **4-17 IV**;
ONA (*USA*) – **11-17 IV**;
WITAJ W KLUBIE (*USA*) – **11-17 IV**;
NOE: WYBRANY PRZEZ BOGA 2D i 3D (*USA*) – **22-30 IV**;
ZABIĆ BOBRA (*Polska*) – **25-30 IV**.
Ceny biletów – 14-16 zł.

PRZEGLĄD FILMÓW Z GRACE KELLY – Kino

Kameralne: W SAMO POŁUDNIE (reż. F. Zinnemann) – **2, 4 IV**;
OKNO NA PODWÓRZE (reż. A. Hitchcock) – **7, 9 IV**;
M JAK MORDERSTWO (reż. A. Hitchcock) – **11, 16 IV**;
DZIEWCZYNA Z PROWINCJI (reż. G. Seaton) – **14, 23 IV**;
ZŁO-DZIEJ W HOTELU (reż. A. Hitchcock) – **25, 30 IV**.
Cena biletu – 10 zł.

www.ldk.lodz.pl/kino

GALERIE:

FF

Do 18 IV

Patrycja Dołowy „Alternatywne historie”

IMAGINARIUM

Do 12 IV

„Foto-obiekt” – wystawa zbiorowa

NOWA

Do 5 IV

„Możesz/zrobić/wszystko”

– wystawa zbiorowa

12 IV, godz. 18

Wernisaż wystawy prac studentów Katedry Druku na Tkaninie ASP w Łodzi pt. „**Między kontynuacją a eksperymentem II**” (do 10 V)

STARA

1-10 IV

Wystawa o **Bronisławie Czechu** w ramach Dni Gór

12 IV, godz. 18

Wernisaż wystawy prac studentów Katedry Druku na Tkaninie ASP w Łodzi pt. „**Między kontynuacją a eksperymentem II**” (do 10 V)

KAWIARNIA

2 IV, godz. 18

„**Biały śnieg i... białe szaleństwo**” – wystawa w ramach Dni Gór (do 4 V)



ŁÓDZKI
DOM
KULTURY

90-113 Łódź, ul. Traugutta 18
tel. 42 633 98 00, www.ldk.lodz.pl

KURSY: KURSY TAŃCA TOWARZYSKIEGO: KLUB OLD BOY, KLUB TAŃCA TOWARZYSKIEGO * KURS FOTOGRAFICZNY * DRAMA * JOGA * GIMNASTYKA ZDROWOTNA * FITNESS * GITARA OD A DO Z * KOLOROWA PRACOWNIA LUIZY * KURS RYSUNKU I MALARSTWA * ZAJĘCIA MALARSKIE (DLA DOROSŁYCH) * MALARSKIE ABC (DLA MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ) * KURS DLA WOKALISTÓW AMATORÓW * STUDIUM KULTURY WOKALNEJ * ZAJĘCIA WOKALNE

ZAJĘCIA STAŁE: KLUB PŁASTYKA AMATORA



Foto: ZOFIA KOTKOWSKA

Klub Plastyka Amatora

Informacje: Ośrodek Inicjatyw Artystycznych ŁDK
ul. Traugutta 18, pok. 112, tel. 797 326 227, imprezy@ldk.lodz.pl,
www.ldk.lodz.pl

ŁÓDZKI DOM KULTURY

oferuje sale na konferencje, kursy, szkolenia, zjazdy

- * zmodernizowana Sala Kolumnowa na 180 osób
- * jedna sala na 250 osób
- * dwie sale do 120 osób
- * siedem mniejszych sal od 20 do 60 osób.

Wszystkie sale wyposażone w nowoczesny sprzęt multimedialny, większe są klimatyzowane i nagłośnione.

Naszym atutem jest lokalizacja w centrum miasta, sąsiedztwo czterech hoteli a także konkurencyjne ceny, usługi cateringowe i miła obsługa.

ZAPRASZAMY:

ul. Traugutta 18, 90-113 Łódź, tel.: 797 32 61 96, 797 32 61 95
e-mail: administracja@ldk.lodz.pl; www.ldk.lodz.pl

WYDAWCA: ŁÓDZKI DOM KULTURY

ADRES REDAKCJI:

ŁDK, 90-113 Łódź, ul. Traugutta 18
tel.: 797 32 62 17, 42 633 98 00 w. 272
e-mail: kalejdoskop@ldk.lodz.pl
www.e-kalejdoskop.pl

REDAGUJE ZESPÓŁ:

Halina Bernat, Bogdan Sobieszek,
Aleksandra Talaga-Nowacka

PROJEKT GRAFICZNY:

Paulina Narolewska-Taborowska

REDAKCJA TECHNICZNA:

Krzysztof Miniak

KOREKTA:

Elżbieta Januszko

Druk:

Oficyna Wydawniczo-Reklamowa „Sagalara”
93-232 Łódź, ul. Lodowa 106a
tel. 42 676 26 76

INFORMACJE O IMPREZACH

prosimy przesyłać na adres: kalejdoskop@ldk.lodz.pl

PRENUMERATA „KALEJDOSKOPU”

RUCH – mieszkańcy Łodzi i województwa mogą zamówić prenumeratę, korzystając ze strony www.prenumerata.ruch.com.pl
pytania: prenumerata@ruch.com.pl
lub tel. 22 693 70 00.

KOLPORTER – tylko instytucje mogą zamawiać prenumeratę w oddziałach firmy Kolporter S.A. na terenie całego kraju.

Informacje pod numerem infolinii 0-801-205-555 lub na stronie internetowej <http://sa.kolporter.com.pl/>

Zamówienia na prenumeratę:

II półrocze 2014 r. do 5 czerwca (12,50 zł)